



Taternik

www.pza.org.pl

3

1969



Spis treści

22 Lipca 1969 (A. Chowański) . . .	97
Dewaluacja szóstego stopnia (J. Kurczab)	98
90 lat wyrazu „taternik” (J. Nyka) . . .	101
Na Małym Młynarzu (Z. Kursa) . . .	102
Tatrzańska zima, jakich mało (M. Jagiełło)	103
„Momatiukówka” z wyjściem wprost (A. Dworak)	105
Polscy harcerze w Centralnych Andach Argentyny (W. W. Blicharski, M. Zaręba i R. Czarniawski)	107
10 lat naszych bojów z Triglavem (A. Paulo)	111
Z wizytą u Ireny Pawlewskiej-Szydłowskiej (M. Rewaj)	113
W. I. Racek „Pik Lenina” (S. Biel) . . .	115
Poznańska wyprawa zimowa w Atlas Wysoki, 1969 (S. Zierhoffer)	117
Atlas Wysoki — kilka uwag (R. W. Schramm)	119
Łódzka wyprawa zimowa w Atlas Wysoki, 1969 (J. Michalski)	123
W jaskiniach Meksyku (M. Kuczyński) . . .	127
Skalne drogi w Tatrach	135
Nowe drogi w Wysokim Atlasie	136
Różne góry różne lata	139
Z życia Klubu	140
Sprzęt i ekwipunek	141
Z piśmiennictwa	142
Notatki i ciekawostki	143
W skrócie	112 i 116

Na okładce: Mieguszowieckie Szczyty wiosną.

Fot. Janusz Vogel

Zdjęcie obok: „Stare” drogi w Wilder Kaiser i dzisiejszym wspinaczom nie poddają się łatwo. Na zdjęciu Samuel Skierski na południowo-wschodniej ścianie Fleischbank w roku 1964 (droga z roku 1925). Do piargów w dole jest ok. 150 m.

Fot. Hansjörg Munz (Reutlingen)

Taternik

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO

ROCZNIK 45

WARSZAWA 1969

NR 3 (204)

22 Lipca 1969

Zdobycie przez działającą w Pamiro-Ałaju reprezentację Klubu Wysokogórskiego kilku dziewiczych szczytów pięciotysięcznych i nazwanie jednego z nich, najtrudniejszego, „Szczytem 25-lecia Polski Ludowej” jest symbolicznym niejako akcentem zamykającym ćwierć wieku rozwoju naszego alpinizmu w nowych warunkach ustrojowych.

Czwierć wieku niepodległości... Na tle Tyśiąclecia odcinek czasu niewielki. Ale przecież w naszej skomplikowanej historii nie mieliśmy tak długiego okresu niezawisłości od roku 1795. To warto sobie uprzytomnić. Warto tym bardziej, że ostatnie 25-lecie było okresem jakże wielkiego i wszechstronnego rozwoju naszego kraju, wynikającego z przemian socjalistycznych, zapoczątkowanych Manifestem Lipcowym.

Miała w tych przemianach swój skromny udział także i niewielka liczebnie grupa ludzi skupionych w Klubie Wysokogórskim. Mała liczebność, to nie elitaryzm, jak utrzymywano kiedyś. Bo przecież nie cenzus majątkowy decyduje o przynależności do naszego grona: jest ono otwarte dla każdego, kto interesuje się górami i kto spełnia wymogi w zakresie wiedzy i umiejętności górskich.

Ogólne osiągnięcia naszego kraju podsumowywane są w prasie i okolicznościowych publikacjach. Nie będziemy ich tu przytaczali. Nie musimy też bilansować dorobku ruchu wysokogórskiego, gdyż co dopiero zostało to zrobione z okazji 150-lecia alpinizmu polskiego. Zwróćmy natomiast uwagę na co innego.

Że, po pierwsze, zrzeszeni w Klubie Wysokogórskim taternicy i alpinści wnieśli — na miarę swych możliwości — znaczny wkład w ogólny rozwój kraju. Mamy w swoim środowisku немало ludzi wyróżniających się: techników i humanistów, działaczy społecznych i politycznych, profesorów wyższych

uczelni, lekarzy, artystów. Ludzi starszych i bardzo młodych. Nie będzie przesady w stwierdzeniu że, jako całość, grupa ta dała z siebie wkład znacznie większy, niż by to wynikało z jej relatywnie małej liczebności.

A po drugie — możemy też powiedzieć, iż dorobek górski owych 25 lat jest tak duży, jak nigdy dotąd w podobnym odcinku czasu. Mimo nie najlepszych warunków utrzymaliśmy swą obecność w światowym ruchu wysokogórskim. I nie najgorzej się zapisaaliśmy. Liczące setki nazw rejestry nowo zdobytych szczytów, którym nadawaliśmy nazwy, sporządzenie map dużych obszarów Hindukuszu czy Spitsbergenu, pionierskie zdobycze jaskiniowe, wreszcie wysoko notowane doskonale pierwsze przejścia sportowe w Alpach czy Dolomitach są trwałym dorobkiem polskim, uznanym przez obcych, nawet i tych niezbyt nam chętnych. Nie zmarnowaliśmy skromnych środków, jakie państwo mogło nam na ten cel dać.

Cechą szczególną sportu alpinistycznego jest to, że nie tworzy on kadry ludzi, którzy zajmowałiby się sportem i tylko nim. Obok pracy zawodowej, jest on drugą dziedziną działalności, jakoś uzupełniającą pierwszą. Alpinizm to nie tylko relaks. Daje on podniecie, rzecz to sprawdzona, do większej aktywności życiowej w ogóle.

Wkraczamy w drugie 25-lecie Polski Ludowej. I chyba najwłaściwiej będzie sformułować przewodnią myśl zamierzeń tak oto: iść nadal drogą wytyczoną — tylko jeszcze dalej i wyżej. W sensie dosłownym i przenośnym. A więc osiągać jeszcze lepsze wyniki w działalności wysokogórskiej — w Tatrach i w górach całego świata, jak i w działalności zawodowej, w życiu codziennym, przy stałym pogłębianiu wykazywanego w praktyce życia społecznego zaangażowania.

Adam Chowański

Dewaluacja szóstego stopnia

JANUSZ KURCZAB

W różnych czasopismach alpinistycznych toczy się obecnie dyskusja na tematy związane z klasyfikacją dróg wspinaczkowych. Zabierają głos uznane autorytety, jak Domenico Rudatis, teoretyk alpinizmu i wielki pionier masywu Civetty („Rivista Mensile del CAI” 6/1968 — „La valutazione sportiva delle scalate”), zabierają też głos przedstawiciele najmłodszego pokolenia, jak Reinhold Messner, jeden z najaktywniejszych w Alpach wspinaczy ostatnich lat, zdobywca lewej połaci północnej ściany Monte Agner, „direttissimi” północno-zachodniej ściany Civetty i ostatnio nowej drogi na północnym filarze Eigeru („Der Bergsteiger”, przedruk w „La Montagne” nr 66/1968 w tłumaczeniu C. Barbiera — „Dévalorisation du VI-e degré”). Ponieważ sprawy tam poruszone wydały mi się palącymi również i dla nas, napisałem poniższy artykuł, opierając się na swoich spostrzeżeniach z Alp i Tatr oraz czerpiąc wiele przykładów z wymienionych wyżej artykułów. Mam nadzieję, że artykuł wywoła dalszą dyskusję, która potrzebna jest jeśli chcemy dalej zachować ducha alpinizmu w jego nieskazitelnym postaci i nie dopuścić, aby stał się dekadentem.

W Tatrach i poza Tatrami można spotkać wspinaczy, jest ich nawet dosyć dużo, którzy mówią z lekceważeniem o tzw. „starych drogach”. Puszą się oni: „to stara szóstka, dziś klasyfikuję ją tylko na pięć”. To zdaje się oznaczać, że „starzy” przecenili drogę, lub że „młodzi” są lepsi. Zastanówmy się co to znaczy: „szóstka” — „skrajnie trudno”. Kiedyś, przed pierwszą wojną światową, nie było szóstego stopnia trudności. Nie było potrzeby wprowadzania go, chociaż w Dolomitach i w Kaisergebirge wspinacze tamtej epoki pokonywali drogi i dziś uważane za ekstremalne. Dotyczy to takich wspinaczy, jak Piaz, Dibona, Dülfer czy Preuss, którzy doszli do szczytu możliwości wspinaczkowych w owych czasach. Opierając się na doświadczeniu tych „klasyków”, dzięki lepszemu sprzętowi i asekuracji z pomocą haków, zaczęto zdobywać ściany jeszcze trudniejsze i poważniejsze. Aby można było odnieść ich trudności do starszych dróg, przyjęto skalę Welzenbacha, wprowadzającą nowy stopień — szósty. Stopień ten objął również niektóre drogi sprzed I wojny światowej. Na przykład arcydzieło kunsztu wspinaczkowego Hansa Dülfera — słynna droga na wschodniej ścianie Fleischbank, pokonana samotnie, została włączona do najwyższego stopnia skali Wel-

zenbacha, choć wcześniej była „piątką”. Skala ta, z małymi modyfikacjami, używana jest do chwili obecnej. (Porównanie skali trudności stosowanej w Tatrach z alpejską zob. „Taternik” 1-2/1963 s. 10-12). Cóż więc oznacza „szóstka”? Słowa „skrajnie trudno” wyjaśniają same: nie ma nic trudniejszego. Ale powstaje pytanie: dla kogo? Rozpiętość kresu możliwości technicznych u wspinaczy jest ogromna. Precyzyjniej należy powiedzieć: szósty stopień jest to non plus ultra dla najlepszych alpinistów.

Odcinek czy suma trudności?

Myślano kiedyś błędnie, że nie można mówić o szóstym stopniu trudności wcześniej, jak od momentu, gdy haki stają się niezbędne nie tylko do asekuracji ale także do poruszania się w skale czy lodzie. „Szóstka” miała znaczyć używanie, czasem intensywne, środków sztucznych. Reinhold Messner podaje taki przykład: „Mathias Rebitsch (...) wspinacz skromny, chociaż genialny — przyjął tę zasadę do klasyfikacji swoich pierwszych wejść. Zdarzyło mu się także sklasyfikować jako V południową ścianę Goldkappel. Obecnie droga ta jest zaliczana do najtrudniejszych, jakie istnieją; do chwili obecnej liczy zaledwie 4 przejścia. Południowa ściana Goldkappel, jedno z najtrudniejszych przejść w Alpach, jest piątką — starą piątką ma się rozumieć. Przejdźcie ją i powiedzcie: ile dróg szóstkowych robiliście dotychczas?... Żadnej?”

Na czym polega więc prawidłowa klasyfikacja drogi? Oszacowanie trudności nie przychodzi mechanicznie, nie jest to sprawa stoperu czy metra, lecz odczucia, osobistego porównania. Sklasyfikować — znaczy przyrównać do innej drogi, przebywanej w danych warunkach, biorąc pod uwagę także własną formę tak fizyczną jak i psychiczną. Ten stosunek określa nam stopień trudności. A pod pojęciem „szóstki” powinny kryć się najwyższe trudności dla najlepszych alpinistów będących w świetnej formie, na ścianie znajdującej się w idealnych warunkach do wspinaczki. I nie dotyczy to poszczególnych fragmentów drogi, wziętych w izolacji. Na skalce, dwa metry nad ziemią, każdy może wspiąć się na skraj możliwości. Prawdziwa odwaga i realne zdolności objawiają się u wspinacza dopiero w wielkiej ścianie, wtedy kiedy przychodzi skrajnie trudne miejsce kilkanaście metrów powyżej ostatniego haka! Każde z takich miejsc składa się na trudności ściany, ale tylko całość o niej decydu-

je. Chcę przez to poprzeć twierdzenie — wyrażone już na łamach „Taternika” (nr 1-2/1963 s.8) przez Piotra Misiurewicza, a dotąd nie podchwycone ani przez taterników, ani przez autorów przewodników tatrzańskich — że drogie należy oceniać jako całość, biorąc pod uwagę różne czynniki, a nie tylko według najtrudniejszego miejsca. Trudność przejścia zwiększa się wraz z jego długością, nawet jeśli odcinkowe trudności techniczne nie zmieniają się. Dużą rolę odgrywa również czynnik psychiczny, chyba każdy doświadczony wspinacz przyzna, że ryzyko przyczynia się do podwyższenia trudności alpinistycznych. Niemożliwością jest oddzielenie ryzyka od „czystych” trudności technicznych, mimo, że takim rozróżnieniem operuje większość przewodników i podręczników alpinizmu. Prowadzi to w rzeczywistości do zastąpienia alpinizmu przez gimnastykę skalową. Niebezpieczeństwo śmiertelnego upadku stanowi specyfikę alpinizmu sportowego, która go czyni różnym od jakiegokolwiek innej formy sportu niebezpiecznego dla życia. Gdy ryzyko jest całkowicie wyeliminowane, gdy asekuracja staje się super-asekuracją, nie ma sensu mówienie o najwyższych trudnościach alpinistycznych.

Gdzie szukać prawdziwej „szóstki”?

W Dolomitach prawie każda droga licząca kilkadziesiąt przejść posiada już komplet haków. Często haków tych jest za dużo nawet do prostego przepinania łańcuchek na odcinkach hakowych. „Szóstki”, które dziś znajdujemy w masywie Tre Cime di Lavaredo*, Catinaccio czy Sella trudno nazwać „górnym limitem wspinaczki skalnej” — jak określił szósty stopień Domenico Rudatis. Jeśli ktoś chce rzeczywiście znaleźć skrajne trudności powinien powtarzać drogi posiadające ograniczoną ilość przejść. Drogi Stössera i Tissiego na południowej ścianie Tofana di Rozes, drogi z lat 1929 i 1931, pozostały „szóstkami” przez prawie 40 lat! Niedawno po przejściu tej drugiej drogi, wspinacz niemiecki Werner Schertle ocenił ją jako trudniejszą od wszystkich dróg nowoczesnych i wierzę, że nie przesadził. To szczęście, że można znaleźć jeszcze kilka starych dróg, które pozostały takimi, jakimi były w momencie ich zdobywania przez wielkich wspinaczy lat międzywojennych. Inaczej jak moglibyśmy klasyfikować dziś nowe drogi?

Zasada równości warunków przejścia jest zasadą fundamentalną, by móc porównywać.

W modernistycznym alpinizmie zasada ta została zapomniana. Tysiące powtórzeń drogi Comicio na północnej ścianie Cima Grande — to przykład ponad wszelką dyskusję dowodzący deprecjacji dróg szóstego stopnia. Czyż tysiące mogą osiągnąć granicę ludzkich możliwości? Szukając przykładów poza Dolomitami, do wymienionych wyżej zdewaluowanych dróg możemy śmiało dołączyć takie modne drogi w masywie Mont Blanc, jak wschodnia ściana Grand Capucin czy filar Bonattiego i zachodnia ściana Petit Dru. Na tej ostatniej, w słynnej „szóstkowej” rysie Vignesa, którą kiedyś przechodzono z dwoma hakami na 25 metrach, dzisiaj tkwi równiutko rząd haków, czyniący z wspinaczki mechaniczną przepinankę. A w Tatrach? Obecnie w kluczowych miejscach „Hokejki” na zachodniej ścianie Łomnicy napotyka się stale haki na dwóch trawersach, gdzie kiedyś wbicie haka wydawało się niemożliwością (patrz: oryginalny opis zdobywców w przewodniku A. Puśkaśa). Na górnym trawersie ktoś nawet napracował się, by wywiercić otwór i osadzić nit w celu poprawienia asekuracji — w miejscu jak wiemy przechodzonym klasycznie i wcale nie przesadnie trudnym. Czyż można dzisiaj nazwać skrajnie trudnym lewy filar Kazałnicy? Nie biorę już pod uwagę, że często przechodzono go z użyciem tzw. „wędek”, która pozwalała na omijanie odcinków hakowych pozbawionych haków stałych, a także trudności klasycznych, co było chwytem nie fair nie tylko w odniesieniu do techniki sztucznych ułatwień. Aktualna ilość haków na tej drodze powoduje, że nie napotyka się na niej ekstremalnych trudności. To samo tyczy się sąsiedniej drogi Momatiuka, a niedługo zagrozi drodze tak sławnej, jak droga Heinricha i Chrobaka na tej samej ścianie! Gdzież u nas szukać „szóstek” wobec tego? Poza drogami nie powtórzonymi lub bardzo rzadko powtarzanymi — prawie nigdzie. Może — zaryzykuję: klasyczny środek północnej ściany Małego Młynarza, może niektóre drogi na Galerii Gankowej...

Każdy prawdziwy alpinista dąży do tego, aby pokonać drogę w możliwie najbardziej naturalny sposób, jak najrzadziej stosując środki sztuczne. To jest to, co umieli robić „starzy” — naprawdę wielu alpinistów: iść w góry ze skromnością, atakować lojalnie. Ci mistrzowie stylu oceniali swoje drogi mając wbitych zaledwie kilka haków na wielosetmetrowej ścianie — i oceniali prawidłowo. Kto powtórzy dawne drogi w tych samych warunkach — będzie miał próbki wartości „piątki” czy „szóstki”. Niestety można tego dokonać coraz rzadziej, gdyż wystarczy czasem kilka stałych haków, by zmienić charakter wspinaczki. Bo czystą teorią wydaje mi się twierdzenie, że droga zachowuje swą wartość, jeśli ktoś z tych haków, w myśl

* O drodze Comicio na Cima Grande już w r. 1936 napisał W. Krygowski, że jej „techniczne trudności nieco się zmniejszyły skutkiem dużej ilości haków, które każda z wypraw na niej zostawia”. Problem jest więc, jak widać, nie nowy. (Red.).

zasad klasycznej wspinaczki, nie korzysta. Samą ich obecność, możliwość poprawienia asekuracji, możliwość przytrzymania się haka gdy robi się niedobrze — czyni przejście znacznie łatwiejszym. Tu dochodzę do stwierdzenia, które być może wywoła wiele protestów: ściana, na której tkwią stałe haki, powinna być sklasyfikowana według trudności, jakie przedstawia przy czynnościowym korzystaniu z tych haków. Oczywiście ilość tkwiących haków może ulec z czasem zmianie, toteż ich klasyfikacja nie mogłaby być sztywna.

Drogi z drabinkami haków

Czy można mówić o „szóstce” gdy chodzi o wspinaczkę czysto hakową? Z pewnością nie. Mówimy o trudnościach hakowych A1, A2, A3, A4 czy też u nas odpowiednio H1, H2 itd. (nawiasem mówiąc, czas już chyba przejść na międzynarodowe oznaczenia, gdyż według ostatniej definicji alpejskiej skali trudności podciągowych istnieje między oboma pełna zbieżność: $H1 = A1$, $H2 = A2$ itd.). Jest jednak pewne „ale”: tak będzie tylko dla pierwszych zdobywców, czasem dla kilku pierwszych powtórzeń. Autorzy drogi pokonują trudności wyższe od tych, jakie napotyka ich następcy nawet na drogach klasycznych; w wypadku dróg hakowych ta różnica zwiększa się znacznie. Zdobywcy wynajdują klucz ściany, dopasowują go do jej rzeźby, podczas gdy ich następcom pozostaje tylko popchnąć drzwi. Chyba nikt nie odważy się mówić dzisiaj o trudnościach H4 — nie rozumiejąc pod tym czyste gimnastyki — przy przejściu takiej „drabinki dla kurcząt”, jaką stał się słynny ongiś „Wariant R” na Mnichu. Problem ten w większym jeszcze stopniu ujawnia się w Dolomitach. Mówiło się kiedyś o ustanowieniu siódmego stopnia trudności a propos direttissimi północnej ściany Cima Grande. Rok wcześniej, bo podczas lata 1957 r., dwaj młodziutki wędrownicy, Walter Philipp i Dieter Flamm, przeszli w trzy dni północno-zachodnie zacięcie Civetty. Oto w skrócie różnica między dwiema drogami: wspinacze z Cima Grande wbili mnóstwo haków, wiercili otwory na mity, narobili wiele hałasu, i to nie tylko stukiem swoich młotków... Chłopcy z Civetty wbili na 43 długościach liny (ściana w tym miejscu mierzy 850 m.) 44 haki przelotowe i odpowiednią ilość stanowiskowych. Długo nikt o tym nie słyszał, żadne echo nie dotarło do nas z Alleghe. Po pierwszych powtórzeniach drogi Hassego mówiło się o siódmym stopniu trudności; Philipp ocenił swoją drogę na V i VI. Obecnie droga na Cima Grande liczy sto kilkadziesiąt wejść; droga Philippa i Flamma na Civette — około trzydziestu*. Kilkakrotnie już wielkie zacięcie Civetty zostało określone jako najtrudniejsza droga Alp.

Cima Grande była trudną, zacięcie Philippa i Flamma nim zostanie. Zostanie nim... dopóki hakomistrze nie dotrą również pod Civette. (W lecie 1987 r. znaleziono na drodze Philippa... nity).

I co dalej?

Wspinaczka ze sztucznymi ułatwieniami niesie ze sobą trzy typy trudności:

1. Trudności w transporcie sprzętu;
2. Trudności w użyciu sprzętu (np. we wbiciu haka);
3. Trudności w przejściu z pomocą użytego sprzętu.

Pierwszy typ trudności, zgodzimy się chyba, nie może być brany pod uwagę w sportowej ocenie trudności drogi, drugi natomiast występuje tylko przy kilku pierwszych przejściach. Dochodzimy więc do podobnego wniosku, jak sformułowany wyżej w odniesieniu do dróg klasycznych: przy klasyfikacji drogi czysto hakowej należy brać pod uwagę tylko ten trzeci typ trudności — to jest trudność przejścia z użyciem haków stałych. Wszystkie oceny zanim droga osiągnie komplet haków trzeba uznać za prowizoryczne. Czasami, i tak jest np. w Tatrach, to prowizorium może trwać dłużej. Powodem tego jest mniejsza frekwencja na niektórych ścianach Tatr, a także rodzaj skały; niebagatelny jest również fakt, że haki u nas ciągle są sprzętem drogom i poszukiwanym...

Ostatnie nowe drogi rzadko osiągają ten pułap możliwości, który nazywamy szóstym stopniem. Chociaż jakość i rodzaj wyposażenia alpinisty uległy w ostatnich latach kolosalnej poprawie — szósty stopień nie może być przekroczony. Nawet więcej: dzisiaj drogi rzeczywiście skrajnie trudne są rzadko przechodzone. Nadmierne zagęszczanie haków sprowadza wielkie ściany do serii problemów skałkowych. Ludzie nadużywający haków pozbawiają drogę trudności psychicznych — pochodzą do problemu tchórzliwie. Kto znajduje kres swoich możliwości we wspinaczce o skali IV — ten powinien na tym poprzestać. Ale ten, kto na „piątce” bije haki jak szewc gwoździe — oszukuje siebie i innych. Jest może ambitny na swój sposób, trudno go jednak nazwać alpinistą, ponieważ często pochlebstwa kolegów znaczą dla niego więcej niżeli własne odczucia i niż czystość stylu wspinania. A cóż powiedzieć o takich, którzy na drogach klasycznych wsadzają mity? Ludzi tego typu można chyba

* Byłoby uproszczeniem sprowadzenie tego stanu rzeczy wyłącznie do trudności obydwu dróg. Zacięcie Civetty długo pozostawało „w cieniu”, natomiast direttissima Cima Grande cieszyła się rozgłosem — jeszcze nim ją poprowadzono. Jako taka budziła naturalnie niewspółmiernie szersze zainteresowanie. (Red.).

zaliczyć tylko do kategorii robotników budowlanych. Mimo to nie mógłbym i nie chciałbym zabraniać im tej „pracy”. Jestem zwolennikiem przyjęcia jakichś sportowych zasad we wspinaniu, jednak nie w formie „kodeksu górskiego”. Skuteczniejszym wydaje mi się głoszenie zasady: żadna forma alpinizmu nie jest niedozwolona; nie ma nieprawidłowych przejść. Może natomiast istnieć nieprawidłowe wartościowanie tych przejść pod względem sportowym. Jeśli ci, o których przed chwilą pisałem rozumieją, że stosując swoje metody nie przechodzą „szóstki” czy H4 — przestaną może używać „wędki” i wiertła.

To prawda, że wspinaczka ze sztucznymi ułatwieniami udoskonaliła się i że historia alpinizmu ma do zarejestrowania dużą ilość

rozwiązań wielkich problemów również po II wojnie światowej. Ale podczas gdy trudności dróg klasycznych mogą pozostać nie zmienione — to drogi hakowe dewaluują się szybko i trudno o to mieć do kogokolwiek pretensje. Zostawmy więc przynajmniej „stare” klasyczne drogi w ich oryginalnym stanie! One wykazują nam, że „starzy” byli ludźmi silnymi i odważnymi: oni pierwsi osiągnęli kraniec możliwości we wspinaczce skalnej. „Prawdziwi artyści pracują bez sieci” — oto maksyma jakiej hołdowali. Dziś coraz rzadziej można spotkać „artystów”. Wielu dzisiejszym wspinaczom brak tej pasji, powodującej, że człowiek zmienia się dla gór, że wytrenowanie, zręczność i odwaga pozwalają mu zaznawać tej głębokiej radości, jaką daje wspinaczka klasyczna.

90 lat wyrazu „taternik”

JÓZEF NYKA

Wyraz „alpinista” zdomował się we wszystkich językach cywilizowanego świata. Znacznie później stworzono na tym samym wzorze wyrazy takie, jak „andynista”, „himalaista” czy „pireneista”, związane z geograficzną specjalizacją sportu wysokogórskiego. Bodaj jedyny wyjątek na świecie stanowi nasz polski wyraz „taternik” — wykazujący pełną analogię z „alpinistą”, nie będący jednak bynajmniej „kalką” tego terminu.

W piśmiennictwie wyraz ten pojawił się dokładnie 90 lat temu, w znanym szkicu Tytusa Chałubińskiego „Sześć dni w Tatrach” (1879). Użyty był tu snadź po raz pierwszy, skoro autor uważał za wskazane krótko go objaśnić: „*taternicy* (tak zowią w Zakopanem tych, którzy dużo po Tatrach chodzą)...” Wyraz szybko wszedł do całej literatury tatrzańskiej, i to jako określenie wyższej kategorii turysty: „taternik zawołany na nie nie zważa” (J. Chodorowicz, 1882); „Szkoda, że tak mało turystów, a nawet wytrawnych *taterników*, zna to miejsce” (R. Zuber, 1884); „Niektórzy taternicy uważali szczyt Staroleśnej za niedostępny” (K. Tetmajer, 1892); „Wyższym typem tatrzańskiego turysty, a więc poniekąd *bohaterem* w tej dziedzinie jest taternik” (J. G. Pawlikowski, 1900). Przez jakiś czas autorzy o większym wyrobieniu językowym odczuwali słowo to jako swego rodzaju egzotykę, biorąc je w cudzysłów lub drukując kursywą (F. H. Nowicki 1883, S. Witkiewicz 1889, J. G. Pawlikowski 1886 i inni). U Witkiewicza widzimy już rze-

czownik oderwany „taternictwo”, niebawem utworzony też został przymiotnik „taternicki”, w drukach występujący już ok. 1900 r.

Skąd jednak ów „taternik” się pojawił, kto jest autorem tego wdzięcznego i zgrabnego określenia zdobywcy ścian tatrzańskich? Trudno byłoby dziś znaleźć odpowiedź na to pytanie, gdyby nie przypadkowo zachowane współczesne świadectwo. Otóż w recenzji nowego przewodnika W. Eljasza, zamieszczonej w „Wędrowcu” w r. 1881, zanotował B. Gustawicz, świetny znawca góralszczyzny i stosunków tatrzańskich: „turystom tatrzańskim, czyli jak górale nasi mówią, taternikom”. A więc wyraz wypłynął z gwary góralskiej, z tego samego ożywczego źródła, z którego wzięliśmy „przełęcz”, „turnię”, „wierch” i wiele wiele innych słów wzbogacających język ogólnonarodowy. Nie ma co prawda wyrazu „taternik” w pierwszych słownikach „gwar zakopańskiej” — u A. A. Kryńskiego (1884), W. Kosińskiego (1884), A. Wrześniowskiego (1885), B. Dembowskiego (1889, 1889, 1894), J. Złóży (1891), ani też w „Słowniku gwar polskich” J. Karłowicza. Nic dziwnego: autorzy widzieli w nim zapewne gwarowy neologizm, utworzony *ad hoc* dla określenia nowego pojęcia i nowego zjawiska. Wyraźnie jednak tkwi to słowo w duchu gwary góralskiej, w której rzeczowniki z przyrostkami —ik oraz —nik są dość licznie zaświadczone (zbojnik, powietrznik w

Ciąg dalszy na s. 134

Na Małym Młynarzu

ZBIGNIEW KURSA



Mały Młynarz — ostatnie trudności „direct”ssmy”.
Fot. Tadeusz Gibiński

Północno-wschodnia ściana Małego Młynarza opada ku Dolinie Białej Wody potężnym 350-metrowym urwiskiem. Środkiem jego prawej połaci w śmiałym ataku doborowej czwórki taterników (E. Chrobak, A. Heinrich, A. Mróz i L. Saduś) poprowadzona została w dniach od 3 do 5 września 1964 r. piękna droga, charakteryzująca się dużym nagromadzeniem trudności zarówno klasycznych, jak i hakowych. Droga ta, do lata 1968 r. nie powtórzona, była naszym celem. Przygotowywaliśmy się do jej powtórzenia długo i dokładnie, znając jej trudności z opisu („Taternik” 3-4/1965 s. 118) oraz opowiadań zdobywców.

Termin ataku był kilkakrotnie przekładany, przeważnie ze względu na pogodę, która wyprawiała przeróżne figle. 7 sierpnia po południu stanęliśmy w miejscu, skąd otwiera się widok na ścianę. Ku naszemu zdumieniu spostrzegliśmy w niej dwójkę wspinaczy rozpoczynających zjazd. Po nawiązaniu kontaktu głosowego dowiedzieliśmy się, że są to Andrzej Gierych i Tadeusz Gibiński, i że wycofują się ze względu na niedostateczną ilość sprzętu. Ponieważ byliśmy zdecydowani drogę atakować, dalsza nasza rozmowa prowadzona była pod kątem nawiązania współpracy obu zespołów. Zdecydowaliśmy się razem na pozostawienie w ścianie założonego już sprzętu i zaatakowanie drogi w dniu następnym. Po kilkunastu minutach spotkaliśmy się

pod ścianą, by wspólnie przygotować biwak. Zasypialiśmy spoglądając na czarne zarysy wierzchołków połyskujących w poświacie wschodzącego księżyca.

Rankiem pogoda się załamała, wobec czego cały sprzęt wspinaczkowy oraz część prowiantu zapakowaliśmy do jednego plecaka, który po zabezpieczeniu przed deszczem i obsunięciem się pozostawiliśmy pod ścianą, a sami wróciliśmy do obozu. Przez 5 dni niepewna pogoda trzymała nas w namiotach. Wreszcie 13 sierpnia ruszyliśmy ponownie pod ścianę. Tym razem biwakowaliśmy na wygodnej trawiastej platformie pod przewieszoną skałą, która znajduje się nieco poniżej miejsca, skąd otwiera się widok na „nasze” urwisko.

Wraz ze wschodem słońca pierwsza dwójka podchodzi pod ścianę i rozpoczyna wspinaczkę, drugi zaś zespół zajmuje się żmudnym napełnianiem bidonów wodą oraz przygotowaniem worków do transportu. Tadek Gibiński pokonuje dwa kluczowe dla dolnej partii ściany wyciągi i zakłada stanowisko na skalnej półce. Druga dwójka posyła mu na sznurze liny służące do „prusikowania” i transportu worków. Dzień jest ładny i dalsza wspinaczka idzie nam sprawnie. Nie wiadomo kiedy mija południe, a wreszcie słońce zaczyna się chylić ku zachodowi.

Wraz z nadchodzącymi ciemnościami spotykamy się całą czwórką na wygodnej półce

z kosodrzewiną, która ma być miejscem naszego biwaku. Noc jest ciepła. Zasypiamy zadowoleni z minionego dnia, myśląc o skończeniu drogi w dniu następnym.

Budzimy się o świcie. Dzień zapowiada się nieszczerze: niebo zasnuwane jest chmurami, a pod nami faluje morze mgieł, z którego sterczą wierzchołki szczytów. Wkrótce mgła ogarnia i nas, zaczyna kropić... Nie rezygnujemy jednak z dalszej drogi i postanawiamy wspinać się w deszczu. Zakładam stanowisko na odpęknętym bloku w zacięciu pod przewieszoną ścianką. Ścianką tą, aż do stanowiska pod okapem, wiedzie kluczowy dla górnej partii drogi wyciąg. Tadek dochodzi do półki pod nią i trawersuje około 10 m w lewo do miejsca, gdzie nasi poprzednicy zakładali stanowisko. Ogląda je i wraca, po czym rusza do góry. Wbija jedynekę, potem rylenkę pod odpęknęty blok, a następnie pięć jedynek pod rząd. Zostaje mu jeszcze jedna, ale chce ją zaoszczędzić, bo nie wiadomo, co będzie dalej. Wbija „listek”, zawieszając ławeczki, staje w nich i... leci głową w dół. Zatrzymuje się na poprzednio wbitej jedynce. Opuszczam go na małą półeczkę i Tadek atakuje ściankę ponownie. Wchodzi w pierwszą jedynekę i znowu spada. Wymienia przetartą pętelkę i idzie dalej. To samo dzieje się przy następnej. Teraz zmienia pętelki przy każdej następnej jedynce i już bez żadnych skrępowań wbija ostatnią. Na szczęście okazuje się, że nie było potrzeby wbijania ich więcej. Dochodzi do stanowiska pod okapem i zamocowuje liny.

Poniżej mojego stanowiska biegnie w lewo wąska, skalisto-trawiasta półka, miejscami porośnięta kosówką. Podczas gdy Tadek się wspina, obaj Andrzej wyszukują miejsce, gdzie się ona rozszerza. Miejsce to nakryte jest przewieszkami chroniącymi je częściowo

przed deszczem. Dodatkowe zabezpieczenie wykonują z płachty biwakowej, robiąc z niej daszek. Ma to być nasz kolejny biwak. Jestem całkowicie przemoczony, toteż z radością przyjmuję propozycję Andrzeja Migockiego, że skończy wyciąg za mnie. Andrzej przechodzi wyciąg i razem z Tadkiem zjeżdża na półkę. We dwóch z Andrzejem Gierychem przygotowujemy kolację. Do zmroku pozostaje jeszcze godzina, a przed nami trzy wyciągi, z których dwa ostatnie wiodą terenem łatwym. Najbliższy odcinek przebiega przez rozległy nieco wywieszony okap, zasłaniający pozostałe partie ściany. Ma być on jutro miejscem zmagania obu Andrzejów. Po kolacji układamy się do snu. Zasypiamy z trudem, wsłuchani w deszcz bębniący w płachtę biwakową.

W nocy niebo rozpogadza się ponownie i wreszcie zaczyna świtać, więc robimy śniadanie. Po śniadaniu obaj Andrzej zaczynają wspinać się w słońcu. Obserwujemy dwie sylwetki pod okapem. Tadek robi zdjęcia. Andrzej Gierych dochodzi do stanowiska między „uszami”. Likwidujemy biwak i pakujemy wszystko do worków. Pierwszy wchodzi po linie z pomocą pętli Prusika i po dojściu do stanowiska wciągamy plecaki, a Andrzej Migocki stoi na krawędzi okapu i pilnuje, żeby się nie zaklinowały. Po dojściu Andrzeja do stanowiska dowiadujemy się do niego i pokonujemy ostatnie metry drogi.

Na wierzchołku rozdzielamy sprzęt i pakujemy go do worków. Zjadamy pozostałą żywność (trzy czekolady, puszkę soku pomidorowego itp.), wypalamy na półkę z Andrzejem Migockim ostatniego papierosa, jaki pozostał nam po biwaku, a następnie zabrawszy spod ściany resztę sprzętu, zadowoleni z drogi wracamy do obozu.

Tatrzańska zima jakich mało

MICHAŁ JAGIEŁŁO

Charakterystyczną cechą zimy 1968/69 była niewielka, jak na Tatry, pokrywa śnieżna. Pierwsza połowa grudnia była prawie bezśnieżna (po północnej stronie dużo lodu, niskie temperatury). W drugiej połowie tego miesiąca pokrywa osiągnęła grubość do 50 cm, a w styczniu — do 100 cm (niskie temperatury). Luty i marzec miały pokrywę śnieżną rzędu 100–120 cm, kwiecień — do 160 cm. Wyjątkowo mało było również wiatrów halnych. Piękna słoneczna pogoda utrzymywała się w początkach grudnia i stycznia oraz około połowy marca, a wręcz letnie upa-

ły nawiedziły Tatry w okresie Wielkiej Nocy i w ostatniej dekadzie kwietnia. Najtrudniejsze warunki wspinaczkowe panowały w lutym, kiedy częste zamiecie wręcz uniemożliwiały prowadzenie działalności sportowej. Ogólnie jednak biorąc, zima była bliska „zimie idealnej”. Toteż dokonano wielu cennych przejść i sezon ubiegły można chyba uznać za lepszy od poprzedniego, chociaż tamten był ponoć rekordowym.

Oto chronologiczne zestawienia, obejmujące nowe drogi, pierwsze przejścia zimowe oraz ważniejsze powtórzenia:

NOWE DROGI

Zadni Kościelec, środkiem wsch. ściany (w górnej części razem z drogą WHP 100): J. Gąsienica Roj, M. Jagiełło, P. Malinowski i R. Szafirski, 12 I 1969.

Kapałkowa Turnia Pośrednia, prawą częścią pd. ściany: J. Hajdukiewicz, M. Jagiełło i S. Kardasz, 9 III 1969. „Taternik” 2/1969.

Zadnia Sobkowa Przełęcz z Doliny Suchej: J. Gąsienica Roj i J. Olszewski, 9 III 1969.

Młynarzowe Widła, pd. ścianą (w prawo od drogi lewym filarem, w górnej części razem z tą drogą): A. Dworak, Z. Kieńć, 9 III 1969.

Nawiesista Turnia, środkiem pd.-wsch. ściany: J. Milewski i T. Piotrowski, 25–26 III 1969.

Turnia nad Polaną, prawym żłebem pn. ściany: D. Gellner, A. Bohosiewicz, J. Franczuk i T. Piotrowski, 7 IV 1969.

Zadnia Garajowa Turnia, wzdłuż ostrza pn.-wsch. filara, z Doliny Hlińskiej (w górnej części z drogą WHP 708): S. Jaworski, W. Jedliński i K. J. Rusiecki, 28–29 IV 1969.

PIERWSZE WEJŚCIA ZIMOWE

Kazalnica Mieguszwowiecka, środkową częścią ściany Kotła Kazalnicy (drogą Gryczyńskiego): H. Bednarek i A. Tarnawski, 1–2 XII 1968 („Taternik”, 1/1969, s. 33).

Mała Wołowa Szczerbina od pn.-wsch. (drogą Łąckiego): Halina Krüger i J. Łącki, 11 IV 1969.

Mały Gierlach, prawym filarem pd.-zach. ściany: E. Chrobak i J. Kiełkowski, 6 XII 1968 („Taternik”, 1/1969, s. 34).

Kazalnica Mieguszwowiecka, lewym skrajem pn.-wsch. ściany (drogą Olszewskiego): M. Gabryel i W. Gąsiecki, 11–14 XII 1963 („Taternik”, 1/1969, s. 33).

Młynarzowe Widła, prawym filarem pd. ściany: Z. Czarniak i R. Szafirski, 15 XII 1968.

Młynarzowe Widła, lewym filarem pd. ściany: M. Jagiełło i P. Malinowski, 15 XII 1969. („Taternik”, 1/1969, s. 33).

Zadni Mnich, prawą stroną pd.-wsch. usko-ku: J. Mączka i M. Rusinowski, 31 XII 1968*.

Ciemnosmreczyńska Turnia, lewą częścią pd.-zach. ściany: J. Bagasik, A. Byczkowski, A. Krawczyk i J. Onyszkiewicz, 4 II 1969*.

Galeria Gankowa, zach. ścianą drogą Ha-uschkego: J. Milewski i T. Piotrowski, 20. III 1969.

Pośredni Wierszyk, lewą grzędą pn.-wsch. ściany: H. Bednarek, A. Heinrich i T. Piotrowski 23 III 1969.

Wielka Kapałkowa Turnia, drogą Goetlów i Świerza: J. Gąsienica Roj, J. Hajdukiewicz, M. Jagiełło i J. Olszewski, 23 III 1969.

* Drogi tego typu odnotowujemy tylko z kronikarskiego obowiązku; ich wartość sportowa jest niewielka.

Kopa nad Wrotami, środkowym kominem lewej części pn.-wsch. ściany (drogą Uchańskiego): M. Budny i A. Sokalla, 4 IV 1969.

Cybrynka, pn.-zach. ścianą (drogą Jankowskiego): J. Franczuk, T. Piotrowski, 5 IV 1969.

Hruba Turnia, drogą Orłowskiego (z nowymi wariantami): D. Gellner, A. Bohosiewicz, J. Franczuk i T. Piotrowski, 8 IV 1969.

Mniszek, pn.-wsch. filarem (drogą Skłodowskiego): M. Gabryel i A. Tarnawski, 9 IV 1969.

Ziobisty Szczyt, drogą Motyki: D. Gellner, A. Bohosiewicz, J. Franczuk i T. Piotrowski, 10 IV 1969.

Cybrynka, pn.-zach. ścianą (drogą Kurczaba): A. Dworak, W. Jeziorski, 10–11 IV 1969.

WAŻNIEJSZE POWTÓRZENIA

Raptawicka Turnia, pd.-wsch. ścianą, drogą Kiełkowskiego — II i III przejście zimowe: J. Łabęcki i R. Malczyk, 8 IV 1969 oraz A. Krawczyk i L. Nowiński, 9 IV 1969.

Mała Buczynowa Turnia, całością pd.-wsch. żłebu — II (?) przejście zimowe: A. Byczkowski, K. Sielski i W. Wachowski, 2 I 1969.

Galeria Gankowa, drogą Studnińki: T. Gi-biński i T. Piotrowski, 3–5 I 1969. I polskie przejście zimowe.

Kazalnica Mieguszwowiecka, drogą Moma-tiuka (z I przejściem zimowym wyprostowania): A. Dworak i Z. Kieńć, 20–24 III 1969.

Mieguszwowiecki Wielki, wsch. ścianą (drogą Świerza): K. Cielecki i K. Gąsiecki, 6 IV 1969.

Rysy, wsch. filarem: A. Dworak i W. Jeziorski, 8 IV 1969. Przypuszczalnie z nowymi wariantami.

Ganek, filarem: Z. Czarniak, J. Hajdukiewicz, E. Miranowski i J. Olszewski, 27–28 IV 1969.

Świśtowy Szczyt, prawą połącią pn. ściany (drogą Bernadzikiewicza): H. Furmanik i K. Krzykała, 29 IV 1969 (z nowym wariantem). I polskie przejście zimowe.

*

Z powyższego wykazu wynika jednoznacznie, że najlepsze osiągnięcia są udziałem Tadeusza Piotrowskiego. Dobrze opanował on bowiem arkana wspinaczki hakowej i klasycznej, umie się wspiąć w skalę i zna również śnieg. Potrafi, co bodaj najważniejsze, pokonywać szybko zimą drogi klasyczne, co — jak się okaże za chwilę — wcale nie jest umiejętnością pospolitą, aczkolwiek nieodzownie konieczną.

Nie wiem kto, gdzie i kiedy powiedział, że do wyjazdów zagranicznych „liczą” się tylko drogi hakowe i czy w ogóle ktoś wygłosił takie zdanie. Wiem natomiast, iż większość młodych wspinaczy jest o tym święcie przekonana i w konsekwencji oblega te ścianki i ściany, na których laweczka jest sprzętem

bezwzględnie potrzebnym. Śmiem również twierdzić, że kunszt klasycznego wspinania (głównie idzie tu o zimę) upada. Tak często powtarzamy sentymentalne „nasz przyjaciel hak”, że istnieje obawa całkowitego uzależnienia się wspinaczy (gatunek — homo sapiens) od owego kawaleczka metalu. Z regram, jaki przeżywa wspinaczka klasyczna, łączy się następna kwestia, a mianowicie styl przejść. Wiele dróg klasycznych przechodzi się z pomocą haków, ławeczek i nikt się temu nie dziwi, nie uważamy nawet za konieczne informować o tym w opisach dróg. To ostatnie odnosi się także do „przejęć” wariantów na wschodniej ścianie Mnicha (A. Dworak i W. Jeziorski oraz A. Byczkowski i A. Sokalla), dokonywanych „od półek do półek” — z pominięciem dolnej połowy (tak!) ściany i bez wejścia na szczyt, co z nadsyłanych do „Taternika” opisów najmniej nie wynika. Proponuję nawrót do dawnego lecz dobrego obyczaju — przestrzegania reguł gry.

Zima tatrzańska może być świetną zaprawą do gór wyższych i będzie nią, jeśli zimową wspinaczką zajmujemy się energicznie i poważnie. Konieczne jest doszkolenie w tym zakresie dla olbrzymiej większości członków Klubu, bowiem ogólnie biorąc poziom jest niziutki. Ubiegły sezon zimowy tworzyła znów zbyt wąska grupa, umiejętnościami zdecydowanie odskakująca od reszty. Fakty takie, jak błędzenie w pięknej księżycową noc w zejściu ze Szpiglasowej Przełęczy do Morskiego Oka, zjeżdżanie z progu Dwoistej Siklawy, wycofywanie się spod Zadniego Kościelca zjazdami — mówią same za siebie. Roztoczenie większej opieki nad początkującymi taternikami zimowymi wydaje się sprawą poważną i niezwykle pilną.

Nie istnieje w praktyce samodzielne zimowe taternictwo kobiece, niewiele jest również naszych pań, towarzyszących zimą kolegom: Danuta Gellner, Alicja Łaptaś (północna Mięguszwieckiego), Halina Krüger i parę innych na łatwiejszych drogach — oto wszystko.



Zima 1968/69. Tadeusz Piotrowski na Mnichu.

Fot. Andrzej Heinrich

Aby dopełnić listy wątpliwości pozwolę sobie na jeszcze jedną uwagę: przyszłość naszego taternictwa leży poza Tatrąmi — powiedziano to dawno. Zanim jednak zobaczą nas obce góry, trzeba trenować w Tatrach. Złe jest jeśli sami ograniczamy rejony treningowe tylko do Morskiego Oka. Kursy można z powodzeniem organizować i w Dolinie Gąsienicowej i w Dolinie Pięciu Stawów, ale dla zaawansowanych rejonem podstawowej działalności winny być Tatry Słowackie. Trzeba tylko mieć trochę inicjatywy, nie bać się długich podejść i od czasu do czasu wyrwać się spod opiekuńczych skrzydeł pani Dziuni.

»Momatiukówka« z wyjściem wprost

ANDRZEJ DWORAK

Relacja z przejścia drogi Momatiuką na Kazałnicy — drugiego zimowego w ogóle (zob. „Taternik” 3—4/1963), a pierwszego z wariantem wyprowadzającym wprost do góry: Andrzej Dworak i Zygmunt Kieńć, 20—24 marca 1969 roku.

„W marcu jak w garncu” — tegoroczny marzec w górach potwierdził w całej rozciągłości to znane ludowe porzekadło. Od 2 do 20 czekaliśmy obaj z Zygmuntem na jakie takie ustalenie się warunków, abyśmy mogli spróbować swych sił na drodze, którą

znaliśmy już z przejść letnich, a na której przejście zimowe mieliśmy nieprzepartą ochotę.

Pogoda poprawiła się wreszcie i można było wyruszyć. Wstaliśmy o godzinie 4.30 i około 6 byliśmy pod Kazalnica. Trudności z miejscami okazały się większe, aniżeli w lecie. Niestety, tylko do wspomnień z lata należało szybkie tempo w dolnej partii ściany. Teraz jej przejście wymagało mozolnego odgarniania spod śniegu stopni i chwytów, a ciężkie plecaki zmusiły nas do ich przeciągania już na pierwszym skalnym żeberku. Ścianki, które w lecie nie stanowiły żadnego problemu, obecnie wymagały ostrożnej wspinaczki.

W zapadającym zmroku rozpoczęliśmy trawers w prawo spod półek na filarze do zacięcia, które według planów miało nas już pierwszego dnia wyprowadzić do miejsca przez pierwszych zdobywców nazwanego „baza wysunięta”. Nie zdołaliśmy jej osiągnąć przy świetle dziennym, więc pod zacięciem urządziliśmy pierwszy i, niestety, ostatni wygodny biwak.

Z rana ruszyliśmy dalej. Dojście do „bazy” i ściągnięcie plecaków zajęło więcej czasu, aniżeli oczekiwaliśmy. Ciężar plecaków z brakiem wprawy w ich przeciąganiu zrobił swoje. Pierwszy wyciąg techniką podciągową rozpoczął Zygmunt. Na początkowym odcinku napotkał trudności podobne jak w lecie, za to wyżej ściana była mocno zalodzona, a ja — jako ten drugi na linie — mogłem podziwiać spadające z góry lodowe bryły. Nastąpiła zmiana prowadzenia i w zapadającym zmroku wszedłem na płytę, aby po dwóch czy trzech metrach widzieć już tylko zarysy ściany. Robiło się coraz ciemniej, zapaliłem więc latarkę czołową. Zaraz jednak dała znać o sobie złośliwość rzeczy martwych: czołówka co chwila gasiła się i zapalała, aby wreszcie zupełnie odmówić posłuszeństwa. Przy świetle księżyca starałem się przejść płytę, pamiętając o tkwiących na jej końcu hakach. Dwie kolejne próby skończyły się jednak niepowodzeniem i drugi — tym razem już na wisząco — biwak wypadł nam przy odpęknętym bloku. Drugi biwak w odległości zaledwie półtorej długości liny od pierwszego! Nie rozmawialiśmy o tym, lecz każdy z nas w duchu myślał, że jest źle, że jeżeli tak dalej pójdzie, to ani żywności, ani pogody nie starczy nam na przejście całej drogi.

Trzeciego dnia wspinaczki pokonaliśmy płytę — łatwiejszą w dzień aniżeli w nocy — i weszliśmy w strefę przewieszoną. Różnica wagi wspinaczy przy słabo osadzonej w wejściu w okap „jedynce” przysporzyła nam trochę emocji.

Znad okapu wszedłem w pierwszy wyciąg wariantu prostującego drogę, poprowadzone-

go przez S. Skierskiego i towarzyszy w r. 1965. Wysokie trudności zwiększał jeszcze zapadający zmrok, na domiar złego wszystkie haki tkwiły słabo. Powiesiłem laweczkę na stałej „jedynce”, która przejawiała znaną nam już z lata tendencję do wyginania się i dosięgnąłem do „blaszanki” pod okapikiem. Wbita na 1/3 długości, nie wzbudzała ona we mnie zaufania. „Wyskoczy czy nie wyskoczy?” — pytanie, które teraz wymawiam tak spokojnie, jaką treść kryło w sobie wówczas?...

Czwarty biwak — trzeci z kolei na wisząco — wypadł nam oddzielnie. Zygmunt tkwił nad okapem i narzekał na silny wiatr, jaki zerwał się wieczorem. Rano obudził mnie donośnymi okrzykami, wśród których dosłyszałem stwierdzenie: „Andrzej, spadł mi kocher!” Trudno teraz uwierzyć, jak łatwo tam człowiek godzi się z takimi sprawami, jak małą mają one dla niego wagę. Poszliśmy po prostu dalej.

Ostatni czysto hakowy wyciąg pokonaliśmy przy wietrze, którego podmuchy dostarczały mi zajęcia na kilka godzin przy rozplątywaniu „makaronu” z dwóch lin. Przewieszka nad ostatnią ścianką nie puściła. Była noc, zjechałem więc do Zygmunta, by razem z nim spędzić ostatni wiszący biwak.

Bardzo wcześnie rano, około godziny 3, obudziliśmy się i ugotowaliśmy w przykrywce od „Juwela” po kilka napojów. Do dalszej wspinaczki przystąpiliśmy czując, że to już koniec drogi, że ściana staje się nasza z każdym metrem pokonanych trudności. Ostatni wyciąg wariantu prostującego drogę, wyprowadzający do połączenia z drogą Chrobaka i Heinricha, był cały mocno zaśnieżony i zmusił nas do solidnej pracy. Następne wyciągi, te już naprawdę ostatnie, były walką z czasem i zmęczeniem, prowadzoną w luźnym i zupełnie nie związanym ze skałą śniegu. Coraz bardziej ciężące plecaki potęgowały trudności i zmuszały do maksymalnego wysiłku, jakże dalekiego od warunków letniej wspinaczki. Osiągnęliśmy siodło nad śniegami kotła i przystąpiliśmy do pakowania plecaków. Silny mróz powodował konieczność robienia ciągłych przerw i rozgrzewania marznących dłoni. Rozgwieżdżone niebo, jasno świecący księżyc i obsypane śniegiem okoliczne szczyty dostarczyły nam niezapomnianych widoków.

Zeżycie rozpoczęliśmy bardzo zmęczeni, lecz jednocześnie bardzo szczęśliwi. W schronisku spotkała nas najmiłsza z niespodzianek, jakie mogliśmy sobie wymarzyć: bezmiar gorącej herbaty, przygotowanej przez Janusza Gacka. Odczuliśmy wówczas, jak rzadko kiedy, wspólną więź łączącą wszystkich tych, którzy wracają z tej cudownej ściany.

Polscy harcerze w Centralnych Andach Argentyny

WACŁAW W. Blicharski

Harcerskie tradycje andynistyczne w Argentynie nie są daty najnowszej. Z szeregów harcerskich wyszła cała plejada polskich andynistów: S. Blicharski, Dudziński, Pastewski, Peterek i inni. W roku 1968 odbyła się pierwsza wyprawa wysokogórska — „Tatry I”, podczas której 6 uczestników odbyło kurs wspinaczki oraz wzięło udział w 2 wypadach, m. in. w masyw ukoronowany szczytem Puntas Negras (4400 m). Już w czasie trwania tej wyprawy powstał projekt zorganizowania następnej, i to z ambitniejszym celem. Postanowiono zdobyć nowy szczyt i nazwać go „Monte Cassino”, dla uczczenia przeszło 1200 Polaków poległych 25 lat temu w zwycięskiej bitwie. Od planu przeszło się do realizacji. Zdobyć i skompletować potrzebny sprzęt wysokogórski i naukowego oraz apteczki zajęło niemal cały rok. W sierpniu 1968 r. rozpoznano teren przyszłego działania i obrano miejsce na bazę. Dalszym krokiem było formalne założenie Harcerskiego Klubu Andynistycznego „Tatry” (15 września 1968 r.) i zgłoszenie go do Federación Argentina de Sky y Andinismo. W Klubie znaleźli się wychowankowie organizacji harcerskiej z rejonu Wielkiego Buenos Aires oraz Polacy z Mendoza. Jednym z założycieli Klubu był prof. Mieczysław Zaręba — zdobywca szczytów w Andach, które otrzymały nazwy „Krakus” i „Polonia Milenaria”.

W dniu 4 stycznia 1969 r. opuściła Buenos Aires grupa 10 członków HKA, która w Mendoza połączyła się z tamtejszą częścią wyprawy. Skład przedstawiał się następująco: Wacław W. Blicharski (kierownik), prof. Mieczysław Zaręba, inż. Kazimierz Żurawiecki, geolog Ryszard Czerniawski, Krystyna Bukietyńska, Elżbieta Czarnobrywa, Krystyna Dukas, Maria Koleda, Ewa Ruchaj, Marek Gaiński, Ryszard Borysiuk, Stefan Drusalski, Henryk Kozłowski (topograf), Jan Parczewski, Leszek Parczewski, Marian Schöenthaler i Krzysztof Sokołowski (fotograf).

W dniu 6 stycznia wyruszyliśmy z Mendoza kolumną trzech samochodów trasą Tupungato, Puesto Santa Clara do Tres Quebradas nad rzeką Santa Clara. Następnego dnia na grzbietach mulów i na własnych plecach przetransportowaliśmy ponad 600 kg żywności i sprzętu na odcinku 12 km w górę potoku del Medio. Muły przy każdej przeprawie przez potok starały się uwolnić od ciężaru, co im się często udawało. Spadziste zbocza doliny potoku poprzecinane były ścieżkami *guanacos*, których nie niepokoił widok człowieka.

Bazę założyliśmy w Playa de la Horqueta (*horqueta* — widły), leżącej u zbiegu potoków, które łącząc swe wody utworzyły niewielkie jezioro. Nad nim, na piaszczystym wzniesieniu wśród uschniętych krza-

Wyprawa w drodze ku widocznemu w głębi szczytowi Monte Cassino (5220 m).



ków *yarretes* stanęły nasze namioty.

Byliśmy na wysokości 3500 m n. p. m. Przed nami rozpościerała się przepiękna panorama górską. Mietek Zaręba określił ją jednym słowem: alpejska! Poszarpane grzbie-ty łańcuchów górskich, turnie, spadziste ścia-ny poprzecinane żlebkami, z naszego stano-wiska wyglądającymi jak białe wijące się nitki, olbrzymie zerwy i rozległe pola lodowców iskrzące się w promieniach słońca — wszystko to składa się na pasmo górskie Cordillera de Santa Clara. Zaczyna się ono od przełęczy Santa Clara na południu i biegnie linią szczytów 5370 m (bez nazwy) i 5460 (Santa Clara), dalej skręca na północny wschód, gdzie kończy się trudnym 5-tysięcz-nikiem, który postanowiliśmy zdobyć. Dalej Cordillera de Santa Clara łączy się z pas-mem Cordon del Plata, zakończonym szczy-tem El Plata (6200 m).

Po założeniu bazy wyszły rozpoznania. 10 stycznia grupa 11 osób weszła bez większej trudności na nowy szczyt o wysokości 5070 m. Otrzymał on nazwę „General Iwanowski” (Polak Wiosny Ludów, który walczył o niepodległość Argentyny). Główne jednak uderzenie skierowaliśmy na prawe skrzydło tego pasma. Królował tu wspomniany już poprzednio 5-tysięcznik. Opasany zerwami i prawie pionowymi ścianami oraz polami lodowców — wydawał się nam nie do zdobycia. Od bazy do ostatniego punktu, z którego wyjdzie natarcie, musimy założyć 3 obozy. Pierwszy, na morenie w kotle polodowco-wym, założono w dniu 9 stycznia. Potem ruszyła piesza karawana na miejsce II obozu, który stanął u stóp przyszłego „Monte Cas-sino”. Zostali w nim prof. Zaręba, Ryszard Czerniawski oraz Marek Gaiński i Krzysztof Sokołowski.

Pogoda dopisywała. Nasza stacja meteorologiczna notowała wszelkie zmiany. Temperatura dnia dochodziła do +25 stopni, za to w nocy spadała do 11 stopni poniżej zera. Ży-cie uprzykrzały wiatry wiejące z rozmaitych kierunków w każdej niemal porze dnia, szarpiąc linami i płachtami namiotów, trzepocząc flagami, zasypując obóz piaskiem.

Atakujemy szczyt

MIECZYSLAW ZARĘBA

14 stycznia — dzień ataku na szczyt, za-powiadał się pogodnie. Wstaliśmy o 8. Po śniadaniu dopasowaliśmy „grampony” — ra-ki, należące do Krzysia i Marka, nasze zaś, które zaczęły się już psuć, daliśmy im do zej-scia po lodowcu do obozu II.

O godz. 9.15 Marek i Krzysiek ruszyli w górę, my natomiast, to znaczy Rysiek i ja — w górę. Przez pierwsze 250 m od namiotu (obóz III) nasz lodowiec miał niewielkie nachylenie,

za to był bardziej poprzecinany szczelinami. Niektóre z nich dochodziły do 10 m gło-bokości i 3 m szerokości. Szukanie najdogodniej-szej drogi przejścia zajmowało dużo czasu. Stopniowo lodowiec zyskiwał na stro-miźnie. Na szczęcie, im kąt nachylenia był większy, tym mniej było szczelin i tym niż-sze stawały się penitenty. Po prawie 3-go-dzinny podchodzeniu zyskaliśmy około 350 m wysokości. Stał się nasz wypadek na ma-łym grzbiecie skalnym, który skośną linią oddzielał nas od ostatniego lodowca.

Minęło już południe. Analizując czas, dosz-liśmy do wniosku, że jeśli dalej pójdziemy w tym tempie, noc złapie nas przed powrotem do obozu III. Pozostawały dwie możliwości: powrót po śpiwory lub wysłanie silniejszego, by on sam próbował zdobyć szczyt w jed-nym dniu. Zgodnie powzięliśmy drugie roz-wiązanie: Ryszard Czerniawski już nieraz dawał dowody swej niezwyklej wytrzymałości i energii; był w wysmienitej formie fizycznej i jako kandydat Oxfordu nie pojechał na olimpiadę akademicką tylko z powodu braku jakichś punktów w dziesięcioboju. Nie ulegało wątpliwości, że on sam ma większe szanse sukcesu. Pożegnaliśmy się życząc so-bie wzajemnie powodzenia, przy tym uma-wiając się co do czasu i miejsca spotkania (na godz. 18.30), by razem w ubezpieczeniu zejść po lodowcu do obozu III. Moim zadaniem było podejść w lewo, na południe, i zdobyć bliższy szczyt wznoszący się po dru-giej stronie przełęczy, lub też samą przełęcz. Rysio wziął filmówkę, a ja malutki aparat fotograficzny „Minox”. Teraz obaj podcho-dziliśmy dalej w górę, choć on na północ, a ja na południe. Postać jego malała, aż znikła za jakimś skalnym grzbieciem.

Szczyt po drugiej stronie przełęczy okazał się szeregiem kilkusetmetrowej wysokości uskoków, utworzonych z tak kruchej ska-ły, że po 3-godzinnej mozolnej wspinaczce da-łem za wygraną i sam nie wiem jak zszed-łem szczęśliwie z powrotem na siodło. Po odpoczynku i posiłku zrobiłem z kamieni kopczyk, w którym umieściłem książkę prze-łęcz „Martin Fierro” (argentyński „Pan Ta-deusz”). Plastikowa torba zawierała propo-czyk Polski i Argentyny. Z przełęczy podzi-wiałem wspaniałe widoki: daleko na połud-niu wyróżniały się szczyty Tupungato i Mar-molejo a na zachodzie Nevado del Plomo.

O godz. 18 dotarłem do umówionego miej-sca spotkania. Ale Ryska ani śladu. Czeka-łem, a w miarę jak wydłużały się cienie skal na lodowcu, tak ciemniały i moje myśli. Szczyt było widać. Skała ciemno-brązowa, nie tak stronna, jak ta, z którą niedawno walczyłem. Ale jeśli jest krucha? Może Ry-siek odpadł od ściany? Między szczytem a mną rozciągała się biel ogromnego lodowca, wzdłuż bardzo długiego grzbieta gór. Go-

Widok ze szczytu Tatry 2. Na lewo od drzewca czekana szczyt Monte Cassino, na prawo — olbrzymi pasma El Plata.

Fot. Wacław W. Blicharski



dzina 18.45. — „Trzeba ruszyć na spotkanie lub na poszukiwanie towarzysza” — pomyślałem. — Ale właśnie w tej samej chwili dostrzegłem daleko na lodowcu zielonkawą punkcik. Co za radość!! To on! To Rysiek w swym zielonym anoraku schodzi zmęczony w moim kierunku. Czy aby szczyt „Monte Cassino” nasz? Dociągnąłem raki i ruszyłem na spotkanie.

Na szczycie

RYSZARD CZARNIAWSKI

Po rozstaniu się z Mietkiem Zarębą zacząłem się wspinać. Kierunek wziąłem na skalny grzbiet, który oddzielał nas od głównego lodowca ciągnącego się aż do szczytu. Początkowo szło mi się dobrze. Ale przedwczesna była moja radość. Nie wyobrażałem sobie nawet, co mnie czeka dalej. Patrząc na lodowiec przez dobrą lornetkę sądziłem, że będzie łatwy do pokonania. Wraz z Mietkiem zauważyliśmy tylko kilka dużych pęknięć, tworzących szczeliny. Oglądałem je teraz z bliska. Niektóre miały po kilka metrów szerokości i ciągnęły się przez pole lodowca, inne były krótsze. Z górnej wargi zwisły setki sopli lodowych. Ale na szczelinach nie kończyły się trudności. Trzeba było również pokonać penitenty, którymi usiana była cała powierzchnia. Osiągały one wysokość od 1 do 2,5 metra. Łatwo sobie wyobrazić jak utrudniały wspinaczkę! Za każdym razem trzeba się było wspiąć na grzbiet ich szeregu, aby znowu zejść w dół i wejść na następny szereg, wyrabując czekaniem stopnie. Jednym słowem mordęga...

Po kilkunastominutowym podejściu byłem cały obłany potem. Na dodatek słońce grzało nie do zniesienia, stopiło też zewnętrzną warstwę lodu i śniegu, tak że woda wypełniła kotlinki pomiędzy rzędami peniten-

tów. Brodziłem w niej po łydki. Jakże dziwna sytuacja — z czoła pot się leje, a palców nóg nie czuje się z zimna!

Po godzinny marszu stanąłem przed nową szczeliną. Tej już nie mogłem obejść, bo przecinała lodowiec na całej jego szerokości. Usiadłem na czubku penitenta, wyciągnąłem z kieszeni trochę suszonych owoców i kawałek czekolady. Gryząc to, zastanawiałem się nad sytuacją. Jeszcze z obozu III zauważyliśmy szczelinę, którą postanowiliśmy obejść przez wspięcie się dość wysoko po skalnym grzbiecie. Okazało się jednak, że za nisko wszedłem na lodowiec. Decyzja: iść wzdłuż szczeliny i szukać przejścia. O kilkadziesiąt kroków dalej natrafiłem na kolumnę lodową 4-metrowej długości, która łączyła oba brzoża szczeliny. Objąłem ją rękoma i posługując się czekanem, rakami, a nawet paznokciami wdrapałem się na drugą stronę. Rozwarta paszcza szczeliny dodała mi takiego animuszu do walki z nią, że zapomniałem nawet o niebezpieczeństwie zjechania w dół. Stąd skierowałem się wprost na grzbiet góry, który wydawał mi się już bliski. Pozostały za mną rzędy penitentów i napotykałem już tylko przeszkody w postaci niedługich szczelin. Spojrzałem na zegarek: minęła czwarta. Wreszcie osiągnąłem grzbiet — do szczytu pozostało mi już tylko około 60 metrów.

Stanąwszy na grzbiecie, usiadłem na skraju lodowca, zdjąłem raki zbyteczne na skale i zjadłem posiłek, podobny zresztą do poprzednich: suche owoce i czekoladę.

Skala to moja specjalność. Jeszcze podczas studiów uniwersyteckich spędzałem po parę tygodni w roku na wspinaczkach skalnych po ścianach Północnej Walii, Szkocji, Lake District lub Avon Gore. Ale ta skala to co innego. Zdradliwy, zwietrzały bazalt — najgorszy wróg każdego wspinacza. Musiałem iść jak kot z „poparzonymi łapkami”. Wiele razy usuwały mi się spod nóg i rąk odłamki skały, często wielkości dobrej walizki.

Po kilkudziesięciu minutach wciągnąłem się na potężny głaz i w tym momencie otrzymałem potworne uderzenie wichru, tak silnego, że czym prędzej padłem na skały, by ochronić się od zmiecienia w dół. Już podczas wspinaczki na ostatnich kilkuset metrach lodowca wiatr dał z wielką siłą. Ale ten był wiatrem nad wiatry: ostry, zimny i tnący jak brzytwa. Trzymając się skały ukłęknałem i spojrzałem przed siebie: wyżej już było niebo. A więc szczyt nasz!

Przedemną rozpościerał się widok niezwykły. Na zachód, gdzie kordon Andów tworzy granicę z Chile, widziałem lodowce del Plomo, dalej na południe wznosił się majestatycznie najwyższy szczyt tego rejonu — piramidalny Tupungato (6710 m). Gdzie okiem sięgnąć piętrzyły się szczyty, szczyty i jeszcze raz szczyty. A pomiędzy nimi Santa Clara ze spiczastym wierzchołkiem i lodowcami. Wyciągnąłem wysokościomierz i zdumiałem się: 5220 m. Szczyt Generała Iwanowskiego, który zdobyliśmy kilka dni temu, wydał mi się tak bliski, że można by kamieniem dorzucić; a przecież w linii powietrznej dzieliła mnie od niego odległość 4 km.

Z budowy kopczyka na samym wierzchołku zrezygnowałem z obawy, że wiatr rzuci mnie w dół. Ostrożnie zszedłem na małe siodło i tu ułożyłem z odłamków skały piramidkę o wysokości 60 cm. Do środka włożyłem puszkę metalową zawierającą książkę szczytu, Krzyż Monte Cassino, ziemię monte-kasyńską oraz ziemię zebraną z grobów harcerzy batalionów „Zośka” i „Parasol”, dalej flagi narodowe i proporzyczek naszej wyprawy. Zrobiłem zdjęcie panoramiczne.

Był już czas do powrotu. Doszedłem do miejsca, gdzie zostawiłem plecak. Po posiłku nałożyłem raki i ruszyłem w drogę. Posuwałem się kilkadziesiąt metrów poniżej grzbietu, gdzie penitenty były niskie i nie utrudniały mi marszu. Po 2½ godzinach dotarłem do miejsca, gdzie wszedłem na lodowiec główny. Czulem jak ogarnia mnie zmęczenie. Wpatrzony w skalisty grzbiet odniosłem wrażenie, że ruszyła się jakaś skała. Niemożliwe! Ale po chwili ciemny punkt stał się bardziej widoczny na białej płaszczyźnie lodowca. Poznałem — to Mietek szedł na spot-

kanie! Jeszcze kilkanaście minut i padliśmy sobie w objęcia. Zadanie było wykonane.

Zwycięstwo i porażka

WACŁAW W. Blicharski

W dniu 14 stycznia wyprawie udało się zdobyć jeszcze jeden szczyt nazwany „Tatry II” (5370 m). Ma on 2 wierzchołki i jest usytuowany na lewej (południowej) flance Cordillera de Santa Clara. Po przeszło 13-godzinnej wspinaczce i pokonaniu długiej grani, której pewne odcinki trzeba było przebywać jak na koniu, o godz. 16 wszedł na wierzchołek W. W. Blicharski. Współpracowały z nim we wspinaczce drużyny K. Bukietyńska i M. Koleda oraz druh M. Schönthaler.

Akcją tą została zakończona pierwsza faza wyprawy i w dniu 18 stycznia wszyscy powrócili do Mendoza na odpoczynek.

W drugiej fazie wyprawy 5 uczestników (W. W. Blicharski, K. Bukietyńska, R. Czerniawski, M. Gaiński i H. Kozłowski) przeniosło się na południe, na teren departamentu Tunuyán, gdzie 25 stycznia Marek Gaiński i Ryszard Czerniawski zdobyli w Cordon de Pomez nowy szczyt o wysokości 5000 m. Niestety przy schodzeniu żlebem ze szczytu Marek Gaiński, 19-letni harcerz-andynista, zginął od lawiny kamieni. Akcja wydobywania zwłok, w której pomagali nam nasi przyjaciele z klubu Tunuyán, Andres Garcia i Jorge Marios, nie powiodła się, gdyż topniejące lodowce — fenomen tegorocznego gorącego lata — powodowały ustawiczne lawiny kamieni. (Nie dała również wyniku druga próba, przeprowadzona w kwietniu, która zalała się z powodu wielkich śniegów).

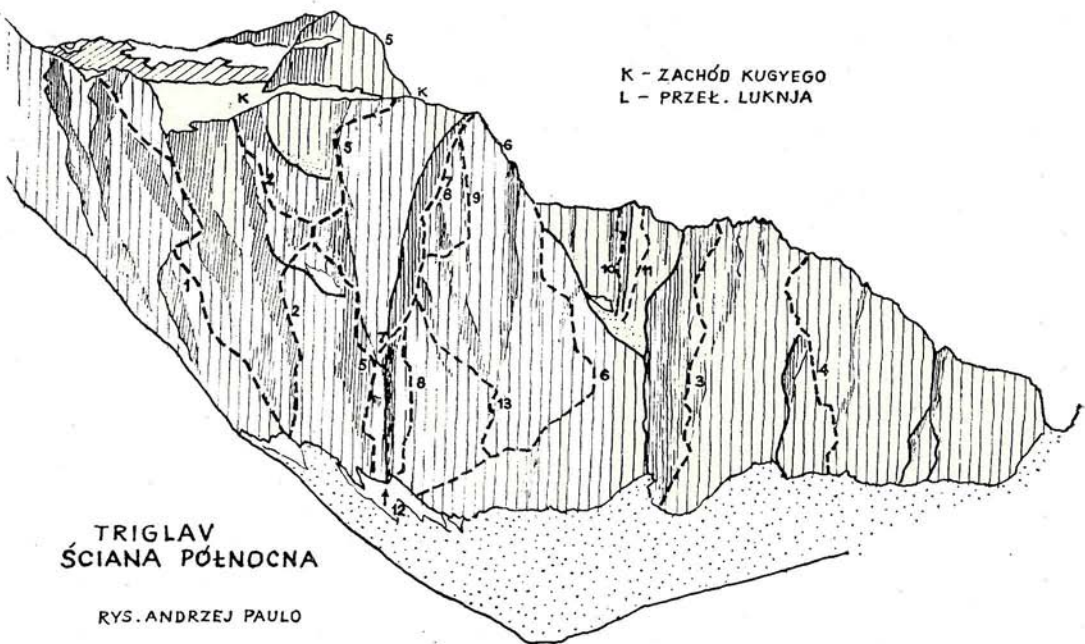
Wyprawa wróciła do Mendoza i Buenos Aires dwoma rzutami w dniach 28 i 29 stycznia. Doskonałe wyniki i radość jej uczestników z wykonania zadania przysłonił tragiczny wypadek, okrywając żałobą nie tylko rodzinę i wyprawę, ale również cały Związek Harcerstwa Polskiego. Do złotej księgi tatarnictwa wpisane zostało nowe nazwisko: harcerz-andynista Marka Gaińskiego.

Jubileusz prof. W. Goetla

W dniach 22 i 23 maja 1969 r. w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej odbyły się uroczystości związane z 50-leciem istnienia uczelni oraz z podwójnym jubileuszem prof. Walerego Goetla: 80-leciem urodzin i 60-leciem pracy naukowej. Prof. Goetel jest jednocześnie jednym z nestorów polskiego tatarnictwa i wieloletnim członkiem hono-

rowym Klubu Wysokogórskiego, a także kilku innych klubów alpinistycznych za granicą. Z „Taternikiem” współpracuje on od lat 60 — artykułem „Udana wycieczka” otworzył rocznik 1909 naszego pisma. Drogiemu Jubilatowi życzymy wielu dalszych lat owocnej pracy dla gór i dla naszego Klubu.

REDAKCJA



10 lat naszych bojów z Triglavem

ANDRZEJ PAULO

Spotkanie UIAA

Kolejne, X Spotkanie Młodych Alpinistów UIAA odbywało się w dniach 6–13 lipca 1967 r. w Alpach Julijskich. Organizatorem i gospodarzem imprezy był Planinska zveza Slovenije, uczestniczyło w niej 38 alpinistów reprezentujących organizacje 12 państw: Austrii, Belgii, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Hiszpanii, Holandii, Jugosławii, NRF, Polski, Szwajcarii i Włoch. Z ramienia Klubu Wysokogórskiego w spotkaniu wzięli udział Zdzisław Czarniak i Andrzej Paulo.

Program imprezy przewidywał wspólną wędrowkę najciekawszymi szlakami turystycznymi Alp Julijskich i ich pogórza, zwiędzanie wytwórni sprzętu turystycznego i sportowego, spotkania z władzami turystycznymi, wreszcie referaty i dyskusje na tematy takie, jak ideologia współczesnego alpinisty, technika wspinania, ratownictwo, ochrona przyrody, alpinizm w Jugosławii, marsze na orientację itp. Pogoda dopisała, jedynie w dniach 9–10 lipca, przeznaczonych na wspinaczki na północnej ścianie Triglavu, silne opady deszczu i śniegu sprowadziły działalność do rozmiarów kameralnych. Impreza upłynęła w serdecznej i przyjemnej atmosferze, co było efektem zarówno doskonałej organizacji (T. Banovec, P. Segula, D. Škrbinek i inni), jak i talentów towarzyskich wielu uczestników.

Na skutek późnego otrzymania paszportów, delegaci KW wzięli udział tylko w drugiej części imprezy, doganiając uczestników w dolinie Vratšč.

Po spotkaniu

Rozstaliśmy się 13 lipca w Lublanie z uczuciem szczerzego żalu, że to już koniec. Holendrzy wybierali się w Kurdystan, Hiszpanie i Francuzi do Chamonix, Włosi w Dolomity, pozostali nad Adriatyk, a my pod Triglav, do pozostawionych tam wcześniej wyładowanych sprzętem i konserwami plecaków.

W krzakach opodal schroniska Aljaža rozstawiliśmy namioty — na przyzwolną łączkę biwakową nie starczyło dewiz. Z tarasu schroniska widać północną ścianę Triglavu. W środku kulminuje centralny filar — 1250 m ponad piargami, a potem jeszcze łatwa grań podszczytowa. Studiowaliśmy rzeźbę ściany wydobytą skośnym światłem zachodzącego słońca i szukaliśmy na niej dróg wrysowanych starannie na stojącej opodal planszy. Wielki uskok centralnego filara stanowił według niej poleć nie tkniętą. Dopiero 500 m wyżej łączyły się na nim drogi, błędnie dotąd w poszukiwaniu łatwiejszego przejścia. Wydało się nam, że znaleźliśmy wyprostowanie, choć z drugiej strony trudno było uwierzyć, żeby taki problem mógł się tu dotąd ostać. I rzeczywiście: droga nie była wrysowana, ale była już zrobiona. Podeszli do nas chłopcy z Jesenicy i rozwiali złudzenia, mieli nawet fragmentaryczny opis. Skorzystalismy z niego, żeby zrobić I powtórzenie drogi przez cały filar.

Potem była niekończąca się biała ściana, dziesiątki wyciągów, plecak na repsznurze klinujący się pod każdą przewieszką, to znów niemilosierdzie ugniatający barki, szum kamieni spadających w sąsiednich depresjach i ich suchy trzask o skałę, wizja załamania pogody po wczorajszych ciurkach dopingująca do wyścigu z czasem i tak zwany zdrowy rozsądek nakazujący dobrą asekurację na łatwych lecz kruchych odcinkach, narastające znużenie i wreszcie radosny okrzyk Zdziszka na górze: „koniec”. A potem tyłu przyjaciół w schronisku na dole — nigdy przedtem nie miałem okazji dokonania II przejścia — w dodatku takiej drogi!

Obiecaliśmy sobie solennie jeszcze wtedy na górze, że następnego dnia nigdzie się nie ruszymy. Nocna burza pomogła dotrzymać słowa. Mgły włożyły się po ogromnej ścianie naszej góry kiedy znaleźliśmy nowy cel — ogromna baszta Slinksa. Podobno jest jeszcze trudniejsza (VI+) i ma 15-nie-

trowy, zupełnie poziomy okap. Niestety czasu nie starczyło — musieliśmy wracać do Polski.

10 lat działalności Polaków

Upływa właśnie 10 lat od pierwszego wyjazdu sportowego taterników polskich w Alpy Julijskie, we wrześniu 1959 roku. Ten mały jubileusz, jak zresztą każdy, daje okazję do spojrzenia wstecz, do oceny przeszłości i wniosków na przyszłość.

Zorganizowano w tym czasie około 10 obozów z inicjatywą i siłami kół KW: Krakowskiego, Katowickiego, Zakopiańskiego, Warszawskiego i Łódzkiego, a także wiele wyjazdów prywatnych. Działalność wspinaczkowa objęła otoczenie dolin Vrata i Planica oraz rejon przełęczy Vršč, koncentrując się głównie na jednej z największych ścian całych Alp — północnej ścianie Triglavu (2833 m). Jest to ogromny wapienny uskok o rozpiętości 3 km, wznoszący się wzniosło o 700 m na skrzydłach do 1250 m w części środkowej. Tu, ponad szerokimi półkami (tzw. zachód Kugy'ego) i polami firnowymi, wznosi się jeszcze kilkusetmetrowa piramida szczytu. Ściana ma zróżnicowaną morfologię. Licznymi filarami i depresjami prowadzi kilkanaście dróg i wariantów, do ekstremalnie trudnych włącznie. Polacy przebyli większość z nich, a kolejność ich pokonywania na przestrzeni lat może być miernikiem postępu, jaki się tu w naszej działalności dokonał. Warto przypomnieć pierwszych polskich zdobywców poszczególnych dróg:

1. Droga słoweńska (800 m, II—III) — Z. Barutowicz, J. Berski, A. Rokita i J. Siemińska, 12 IX 1959.

2. Droga niemiecka „krótka” (800 m, III) — S. Janik, J. Siupski i A. Truskowski, 12 IX 1959.

2—5. Droga niemiecka „długa”, w górnej części pokrywająca się z drogą bawarską (1400 m, IV) — Z. Grabowski i R. Łucko, 14 IX 1960.

3. Filar Juga (900 m, IV—V) — J. Siupski i A. Truskowski, 14 IX 1959.

4. Droga Sandi-Wisiaka (750 m, V) — B. Łazarska i R. Łazarski, 8 VIII 1961.

5. Droga bawarska (1500 m, IV+) — H. Ciońka, J. Jarecka, M. Jarecki i A. Stanoch, 14 VIII 1961.

6. Droga Prusika i Szalaya (1250 m, IV—V) — B. Skoczylasowa i M. Bernad, 10 VIII 1962.

7. Droga górnokrajńska (1250 m, IV—V+) — J. Strzyżewski i S. Zierhoffer, 26 VIII 1964.

8. Centralny filar przez dolny uskoki (1250 m, V—VI, A2) — Z. Czarniak i A. Paulo, 15—16 VII 1967 (II przejście całości drogi).

9. Filar Copa — wariant w drodze górnokrajńskiej — (ok. 300 m, VI) brak polskiego przejścia.

10. Sfinga (ok. 400 m, VI+, A3) brak polskiego przejścia.

11. Sfinga (ok. 400 m, VI+, A2) brak polskiego przejścia.

13. Droga Skala — wariant w drodze górnokrajńskiej (IV—V+) — brak polskiego przejścia.

Największą popularnością cieszyły się wśród taterników polskich drogi słoweńska (45 osób) i niemiecka (32). W sumie północną ścianę Triglavu przebyło przeszło 100 Polaków.

Perspektywy

Liczba ta jest poważna i mielibyśmy powód do dumy, gdyby nie osłabienie działalności w Alpach Julijskich w ciągu ostatnich lat. Kiedyś jedni z najlepszych, daliśmy się zdystansować Czechom, Niemcom i innym. W ostatnich latach dokonali oni w Alpach Julijskich szeregu pierwszych przejść letnich i zimowych, pokonując m. in. w zimie słynną 900-metrową ścianę Travnika (5—10 III 1967). Rozwiązano też większość problemów w dolinie Martuljek — Polakom do niedawna nie znanej.

Trudno się dziwić naszym taternikom, że w rozległym masywie pociągali ich przede wszystkim ściana największa i najsłynniejsza. Stanowiła przecież nowość dla każdego nowego człowieka. Można by jednak dziś pomyśleć o obozie wyczynowym — na wzór corocznych wyjazdów do Chamonix, czy w Dolomity — usytuowanym w jednej z mniej wyeksplorowanych dolin. Mimo niepowodzenia wyjazdów zimowych 1968 i 1969 trzeba w przyszłości i tę działalność kontynuować, a nawet ją rozszerzać. Wspaniałych celów zimowych i letnich nie brak nawet na samym Triglavie — directissima północnej ściany wciąż jeszcze pozostaje tu w sferze problemów.

W skrócie

● Wśród laureatów nagród Ministra Kultury i Sztuki za twórczość artystyczną, przyznanych z okazji święta 22 Lipca 1969 r., znalazł się m. in. znany taternik i alpinista krakowski, Andrzej Pietsch („za osiągnięcia twórcze w dziedzinie grafiki artystycznej”).

● W ostatnich dniach września 1969 r. odbyły się w Zakopanem uroczystości związane z 60-leciem istnienia GOPR.

● Wzmankując w „Taterniku” 1/1969 r. działalność zagranicznych grup w Kaukazie nie wymieniliśmy alpinistów czechosłowackich. Jednym z ich czołowych osiągnięć jest nowa droga na zachodniej ścianie szczytu Kirpicz (3800 m, 17—20 VII 1968).

● Grupa alpinistów bułgarskich, która w kwietniu dokonała wejścia na Kilimandżaro, umieściła na nim pomnik W. I. Lenina — w związku ze zbliżającym się 100-leciem urodzin Wodza Rewolucji.

● Słynna droga Piussiego i Redaello na południowej ścianie

Torre Trieste w Dolomitach została powtórzona, a zarazem przebyta po raz pierwszy w zimie w dniach 19—17 III 1968 r. w 65 godzinach efektywnej wspinaczki (bracia A. i G. Rusconi). „Rivista Mensile del CAI” przynosi w numerze 4/1969 relację z tego pięknego przejścia.

● Uwaga ekstremalnych wspinaczy radzieckich przenosi się ostatnio również na mniej dotąd popularne rejon Kaukazu, posiadające dziesiątki ścian w ogóle nie tkniętych przez człowieka. Latem 1963 r. kilka dróg najwyższej klasy poprowadzono w rejonie Cejskim, o którym dotąd niewiele było słychać.

● Prezesem American Alpine Club został wybrany Nicholas B. Clinch, doświadczony kierownik wypraw na Hidden Peak, Masherbrum, Mount W. nson i inne szczyty.

● „Via dei Ragni” poprowadzona zeszłego lata na wschodniej ścianie Grand Capucin („Taternik” 4/1968 s. 190) już w marcu 1969 otrzymała przejście zimowe. Dokonał go Leo Cerruti i Ales-

sandro Gogna, znany z udziału w zimowym przejściu ściany Piz Badile i z I samotnego przejścia Filara Walkera.



Grand Capucin — Via dei Ragni w zimie.

Z wizytą u Ireny Pawlewskiej -Szydlowskiej

MARIA REWAJ



Irena Pawlewska-Szydlowska wstąpiła do ST TT w roku 1909 i obchodzi właśnie 60-lecie przynależności do naszej organizacji. Fot. Tadeusz Rewaj

Na wniosek Koła Szczecińskiego KW, Walny Zjazd Klubu Wysokogórskiego nadał w dniu 2 marca 1969 r. członkostwo honorowe Irenie Pawlewskiej-Szydlowskiej, jednej z pionierek naszego taternictwa kobiecego. Złożyłam wizytę pani Irenie, by jej pogratulować otrzymania najwyższej godności klubowej, pogratulować tym goręcej, że akt nadania członkostwa honorowego zbiegł się z obchodami 150-lecia alpinizmu polskiego, a przecież jej biografia górską spina jak klamra czasy narodzin taternictwa nowoczesnego, z naszymi czasami wszechstronnego rozkwitu wyczynu sportowego w taternictwie.

Pani Irena przyjęła gratulacje ze wzruszeniem, aczkolwiek nie omieszczała dodać, że wyróżnienie to jest w jej odczuciu zbyt dużym honorem dla niej. Na swoją działalność taternicką patrzy dziś z dystansu i uważa, że to, co robiła, wypływało bezpośrednio z wewnętrznej potrzeby, z umiłowania gór i sympatii do ludzi obdarzonych pasją ich poznawania i ujarzmiania — nie oczekiwała za to żadnych godności czy wyróżnień.

Początki górskich zainteresowań pani Ireny wiązały się z osobą Heleny Dłuskiej, córki twórców znanego sanatorium pod Gubałówką, a jej serdecznej przyjaciółki. Jak się to wszystko zaczęło — opowiadała kiedyś na łamach książki Haliny Wyżanowiczowej „Od krynoliny do liny” (1960):

— Dzięki temu, że Helena Dłuska mieszkała w Zakopanem, a ja przyjeżdżałam do niej na wakacje, poznałyśmy Tatry bardzo wcześnie. Mając 13 czy 14 lat znałyśmy wszystkie okoliczne dolinki, Giewont i Czerwone Wier-

chy, otoczenie Hali Gąsienicowej i Orlą Perć. Chodziłyśmy w gronie naszych rówieśników i rówieśnic, najchętniej jednak same. Pierwszą naszą kilkudniową wycieczką była niezapomniana wyprawa z przemiłym przewodnikiem Jaśkiem Pęksą, bratem moim Tadeuszem Pawlewskim, Aleksandrem Kowalskim i braćmi Goetlami, również początkującymi wówczas taternikami, na Krywań, Ganek, nieudane z powodu wielkiego śniegu wejście na Gierlach, potem na Mnicha...

Przeglądałam zdjęcia z rodzinnego albumu pani Ireny i czuję się odurzona powiewem historii. Widzę jasnowłosą dziewczynę w długiej sukni stojącą przed chatą góralską, a za chwilę tę samą dziewczynę w obszernych welwetowych pumpach — już z plecakiem, w towarzystwie innej podobnie ubranej taterniczki.

— Ta druga to właśnie Helena Dłuska — słyszę objaśnienie. — Górale zwali ją „Helcią”. A te spodnie to był szczyt naszej dumy, sprowadziłyśmy je z Wiednia z firmy Mizzi Langer, jedynej która szyla wówczas takie rzeczy. W Tatrach byłyśmy jednymi z pierwszych kobiet, które ośmieliły się włożyć spodnie. Nie obeszło się naturalnie bez dowcipnych, a czasami ciętych komentarzy ze strony górali i nie tylko górali. Jednym z zapamiętanych, wyrażających aprobatę, było: „dyć wiatery nie podwieje i od chłopów spokojniej”. Potrzeba włożenia spodni wynikała zresztą z intensywnego chodzenia po górach, podyktowało ją samo życie.

Były to pierwsze lata naszego stulecia, bo-
daj najciekawszy okres rozwoju taternictwa.
W Zakopanem spotykało się wielu wybit-
nych ludzi — rozkwitały idee, ścierały się po-
glądy, powstawały prywatne kluby („Ba-
cówka”, „Himalaja Klub”). W tych okolicz-
nościach do wspinaczkowego poznania Tatr
stanął na równi z zespołami męskimi zes-
pół kobiecy — Irena Pawlewska i Helena
Dłuska. Było to, jak na owe czasy, wydarze-
nie bez precedensu. Chodziły intensywnie,
przeszły wiele dróg w Tatrach Słowackich i
Polskich — grań Hrubego, Furkot, Koprowy
Wierch, Gierlach z Doliny Batyżowieckiej i
wiele wiele innych. Każde z tych wejść, to
pierwsze wejście z udziałem kobiety lub sa-
modzielne wejście kobiece. Od czasu do czasu
towarzyszili im Mieczysław Świerż (Baranie
Rogi, Dzika Turnia, Lomnica), Zygmunt Kle-
mensiewicz, bracia Goetlowie, Aleksander
Kowalski. Najprzyjemniej wspomina jednak
pani Irena drogi odbyte w towarzystwie ko-
biecym, a szczególnie te, które robiła z He-
leną Dłuską. Któregoś sezonu obydwie spot-
kał zaszczyt towarzyszenia w wycieczkach
tatrzańskich Marii Skłodowskiej-Curie, która
była ciotką Heleny Dłuskiej. Były z nią ra-
zem w dolinkach regłowych, nad Morskim
Okiem, na Świnicy i w Dolinie Niewcyrki.
Przez jakiś czas chodziły w zespole trójko-
wym, z krewną pani Ireny, wtedy nazywały
się „Klubem Trzech”.

Ostatnio w książeczce „500 zagadek o Ta-
trach” przypomniano drogę zespołu Dłuska —
Pawlewska na Szczyrbski Szczyt z Doliny
Hlińskiej, poprowadzoną zupełnie samodziel-
nie w sierpniu 1908 roku.

— *Nie wiem dlaczego wyróżniono właśnie
tę drogę — zastanawia się pani Irena. —
Przecież prawie każda droga, którą wtedy
robiliśmy, była nowa. W tym, że niektóre z
nich poszły w zapomnienie, jest dużo naszej
winy, bo z reguły nie zostawialiśmy żadnych
opisów. Idąc wówczas na Szczyrbski Szczyt
podeszliśmy pod ścianę od Małego Ogrodu.
Jeden plecak zostawiliśmy pod ścianą, a na-
stępnie systemem zachodów, ścianek i ko-
minków wspinaliśmy się możliwie najkrótszą
drogą do wierzchołka. Trwało to dość długo,
może dwie godziny, może trzy, aż dotarliśmy
do najwyższego wzniesienia w grani i uzna-
liśmy je za szczyt. Mialiśmy z sobą butelkę
wody i trochę chleba. Po posiłku, tak dla
żartu, włożyliśmy do butelki po wodzie kar-
tkę z nazwiskami i datą i umieściliśmy ją
pod kamieniem szczytowym. Po zejściu na
dół łatwiejszą drogą stwierdziliśmy, że do
plecaka zakradł się świstak i zjadł nam resz-
tę pozostawionego chleba, na głodno więc
zeszliśmy do Doliny Koprowej. I tę drogę
ominęłyby wzmianki historyków, gdyby nie
butelka i koledzy, którzy ją po pewnym cza-
sie znaleźli.*

Podczas jednej z wspólnych dróg — przy
pierwszym kobiecym przejściu wschodniej
grani Świnicy — zespół Dłuska — Pawlew-
ska przeżył groźny wypadek: nad zjeżdżającą
z uskołu panią Ireną wyrwał się hak zjaz-
dowy, a ona sama runęła w opłotach liny w
żłebek na południowym zboczu. Szczęśliwie
skończyło się na potłuczeniach i niegroźnych
dla życia kontuzjach. W październiku 1909 r.
wspinając się samotnie przed laty celu: być
na każdym nazwanym szczycie tatrzańskim,
na każdej nazwanej przełęczy.

— *Kobiety na wspinaczce zupełnie dobrze
dają sobie radę, są odpowiedzialne i wytrzy-
małe — mówi pani Irena. — W całej pełni
popieram samodzielność kobiet w taternic-
twie. Nie wszyscy mężczyźni chcą się z tym
zgodzić. W moich pierwszych latach wspin-
ania zdecydowanym przeciwnikiem wpro-
wadzania kobiet do taternictwa był Roman Kor-
dys.*

W Roztoce spotykały się z Borysem Wigi-
lewem, przyjacielem Heleny Dłuskiej i to-
warzyszem wypraw Lenina. W latach mi-
ędzywojennych pani Irena przejęła się ideą
„Tatry dla wszystkich” i stanęła jako prze-
wodniczka na czele wędrownych obozów
młodzieży robotniczej. Do ciekawszych prze-
żyć z tego okresu należy przeprowadzenie
przez nią samą 30 dziewcząt z Junackich
Hułców Pracy przez Zawrat do Doliny Pię-
ciu Stawów Polskich. Opowiada o tym z prze-
jęciem:

— *Wszystkie ubrane były w wojskowe pod-
kute buty, a tymczasem przyprószył śnieg
i zrobiło się ślisko i zimno. Musiałam każdej
po kolei pomagać w trudniejszych miejscach,
ale wszystkie udało mi się bezpiecznie prze-
prowadzić. Było to jednak dla mnie duże
przeżycie...*

Ze Lwowa przeniosła się pani Irena do
Warszawy i tam zastała ją wojna. Na wios-
nę 1941 r. dostała się na Pawiak, gdzie wię-
ziona była pół roku. Pierwszym transportem
z Pawiaka została przewieziona do obozu
koncentracyjnego w Ravensbrück, skąd pod
koniec wojny przerzucono ją do obozu w
Neu Brandenburg. W obu tych obozach dzia-
łała w ruchu oporu, m.in. z funkcją szefa
grupy dywersyjnej. Minęła wreszcie noc oku-
pacji. Za nową siedzibę pani Irena obrała
sobie Szczecin, gdzie mieszka do dzisiaj. W
1949 r. wznowiła kontakt z Polskim Towa-

rzystwem Tatrzańskim i Klubem Wysokogórskim. W Szczecinie poznała też Stanisława Gronskiego i razem z nim działała w ówczesnej Sekcji Wysokogórskiej PTTK. Każdą wolną chwilę spędzała w Tatrach, uczestniczyła też w obozach taternickich organizowanych przez środowisko szczecińskie. Na obzie w Dolinie Pięciu Stawów, prowadzonym przez Gronskiego, poznała Janka Długosza, który ujął ją swoim stylem bycia i znajomością spraw tatrzańskich. Na ostatnim obozie klubowym była pani Irena w grudniu 1957 r. na Hali Gąsienicowej.

— Wybrałam się wtedy samotnie do Doliny Pańszczy — wspomina. — Był piękny mroźny dzień, w Pańszczy cicho, tylko pod nogami dzwoniły kruszące się lodowe kwiaty. Zauroczył mnie ten piękny dzień i ani się

obejrzałam, jak zaczął zapadać zmierzch. Wkrótce zrobiło się zupełnie ciemno. Zboczyłam więc do koryta potoku i brnęłam nim po pas w śniegu. Robiłam co było w mojej mocy, by możliwie szybko zawiadomić schronisko o tym, że nie mi się nie stało. Zdążyłam przed wyruszeniem akcji...

Później prowadziła pani Irena w Tatrach jeszcze dwa obozy wędrownie młodzieży szkolnej, ostatni z nich trzy lata temu — w r. 1966, mając lat 75.

Piękna karta w historii taternictwa, piękny przykład czynnego służenia wybranej przez siebie idei, przykład godny naśladowania dla każdego z nas.

Życzeniami stu lat w zdrowiu i bliskości gór pożegnałam gościnny dom pani Ireny.

W. I. Racek: „PIK LENINA”

W poprzednim numerze „Taternika” zasygnalizowano ukazanie się broszurki Władimira I. Racka „Pik Lenina”. To niewielkie objętościowo, lecz treściwie dzieło zasługuje na nieco szersze omówienie w naszym piśmie, domagają się też skorygowania zawarte w nim drobne nieścisłości.

Jak wskazuje podtytuł, broszurka stanowi zbiór informacji ułatwiających zaplanowanie i przeprowadzenie wejścia na Pik Lenina. Uzupełniają ją 3 aneksy. Pierwszy podaje tekst uchwały o nagrodzeniu srebrnym żetonem „Pik Lenina” tych wszystkich, którzy stanęli na wierzchołku. Drugi aneks stanowi spis zespołów i imienny wykaz wszystkich alpinistów, którzy w latach 1928–1968 weszli na szczyt. Wynika z niego, że do r. 1968 włącznie Pik Lenina osiągnęli 83 zespoły, obejmujące 814 osób. Cyfra 813 podana na s. 13 jest błędna, wykaz zamyka bowiem alpinista ujęty jako pozycja 812 ale pozycje 805 uzupełniają numery 805a i 805b. Uwzględniając listy alpinistów, którzy szczyt osiągnęli więcej niż jeden raz, można stwierdzić, że na Szczycie Lenina było 750 alpinistów przy czym 5 (W. M. Abalakow, J. K. Arkin, E. T. Ilinski, K. B. Kleczko i K. K. Kuźmin) weszło nań trzykrotnie a 54 dwukrotnie.

Czytelność wykazu ogranicza to, iż obok nazwisk alpinistów zagranicznych nie podaje się ich narodowości. Od r. 1960 wyodrębniła się wprawdzie z e s p o ł y zagraniczne ale nie rozwiązuje to sprawy. Opierając się na wykazie niepodobna określić nie tylko narodowości poszczególnych obokrajowców dokonujących wejść z ekipami radzieckimi (np. Sekyry, który jest Czechem, czy Polaka Staszyszyna) ale nawet trójki, która dokonała I wejścia na szczyt w r. 1928. Prowadzi to do pomyłek. I tak na s. 13 autor pisze, że wśród 43 kobiet, które stanęły na szczycie jest jedna Rumunka, jedna Czeszka i jedna Bułgarka. Z zestawienia można ustalić narodowość tylko dwu: Czeszki Marty Malej z zespołu nr 32 pozycja 404 oraz znanej alpinistki jugosłowiańskiej B. Lipovšek-Sčetininy z zespołu 65 pozycja 659. Ponieważ uczestnicząca w Alpinadzie 1967 r. szóstka Bułgarów była pierwszym i jedynym zespołem tego kraju w Pamirze, a nie było w nim kobiety, pomyłka Racka jest tu oczywista.

W oparciu o inne źródła można ustalić, że na Szczycie Lenina stanęło 13 Austriaków, 6 Bułgarów, 17 Chińczyków, 12 Czechosłowaków (w tym kobieta), 6 Jugosłowian (w tym kobieta), 8 Niemców, 7 Polaków, 2 Rumunów, 4 Węgrów oraz 3 Włochów.

Jeżeli idzie o przejścia polskie, są one zarejestrowane jako pozycje 687–689 (zespół idący przez Skąły Lipikina), 691–693 (zespół idący przez Pik Kompleksny) oraz 752 (Staszyszyn). W wykazie zauważyłem pomyłkę. Zespół bułgarski (nr 61 s. 56) wszedł na wierzchołek nie przez szczyt 5547 m (Pik Kompleksny), lecz zębem skalnym w przedłużeniu Skąły Lipikina. Nie wpływa to jednak na kolejność wejścia zespołu polskiego drogą poprzez Pik Kompleksny. Według relacji uzyskanych przeze mnie w czasie Alpinady drogę tę najprawdopodobniej w dniu 2 VIII powtórzył inny zespół „Buriewiestnika”, co nie jest uwidocznione w wykazie. Przy okazji uzupełnienie do mojego artykułu w „Taterniku” 4/1967: pierwszego wejścia na wschodnią granicę poprzez Pik Kompleksny — a więc drogi, której III przejście jest dziełem naszej trójki — dokonał zespół: W. M. Bożukow, O. S. Kosmaczew, P. D. Sokołow, B. T. Soustin i E. K. Zacharow, kierowany przez J. I. Skurlatowa (pozycje 536–541).

Alpinada 1967 r. zamknęła ostatecznie problem pierwszego w ogóle wejścia na szczyt Lenina. I ten fakt znalazł odbicie w omawianej broszurce. Poprzednio liczne publikacje radzieckie kwestionowały zdobycie szczytu przez trójkę E. Allwein, E. Schneider i K. Wien w 1928 r., jako że alpinści ci nie pozostawili na wierzchołku notatki ani też nie zrobili okolicznościowych zdjęć, chociaż posiadali aparat (patrz Bielecki — „Pik Lenina” s. 60–61). Przy zdobyciu szczytu przejście wschodniej grani zajęło im 7 godzin i 45 minut, a zejście do Przełęczy Krylenki 2 godziny i 15 minut. Tymczasem, jak pisze Bielecki, najkrótszy czas przejścia tego odcinka grani osiągnięty przez alpinistów radzieckich wynosi odpowiednio 15 godzin i 20 minut (z jednym błędem) a zejście 4 godziny i 15 minut.

W r. 1967 alpinista austriacki R. Walter w jednym dniu wszedł z Przełęczy Krylenki na wierzchołek i wrócił na przełęcz dowodząc tym samym, że tempo pierwszych zdobywców szczytu było zupełnie

realne. Dodam, że byli oni w dodatku lepiej zaaklimatyzowani, gdyż atak przeprowadzali pod koniec prawie dwumiesięcznego pobytu w Pamirze. Ponadto, jak przypominam W. I. Racek, w r. 1957 znaleziono wśród kamieni na wierzchołku południowym metalową oprawę okularów przeciwsłonecznych pochodzenia zagranicznego, które musiały należeć do któregoś ze zdobywców szczytu. Zamykając spór, gospodarze przekazali w r. 1967 ekipie

austriackiej medal „Pik Lenina” dla żyjącego w Austrii Erwina Schneidera — uczestnika bezspornego już pierwszego wejścia*.

Stanisław Biel

* Drugiego wejścia na Pik Lenina dokonali w r. 1934 W. M. Abalakow, K. A. Czernucha i I. W. Lukin, których nazwiska błędnie podano w „Taterniku” 4—5/1947 s. 115.

W skrócie

● Wiosną bawiło w Polsce kilku alpinistów z Mongolskiej Republiki Ludowej, m. in. prezes mongolskiego klubu górskiego.

● W dniach 1—6 VIII 1968 r. czwórkowy zespół radziecki dokonał I przejścia południowo-zachodniej ściany tzw. Piętej Turni w masywie Korony (4860 m — Tiań Szan). Ściana ma 1100 m wysokości i nachylenie 85°. Użyto 110 haków, 19 kołków i 32 nitów.

● „Rassegna Alpina” 9/1969 zamieszcza obszerną relację z I przejścia drogi „Wiewiórek” na południowej ścianie Cima Scotoni, której I powtórzenie przypadało w udziale Polakom („Taternik” 2/1969).

● Do czołowych sukcesów minionej zimy w Dolomitach należy przejście zimowe tzw. superdirettissime południowo-zachodniej ściany Roda di Vael (G Branzi i T. Nardella).

● Pod koniec ubiegłego roku w dżunglach północnej części Peru działała mała wyprawa archeologiczno-filmowa, która z pomocą nowoczesnej techniki wspinaczkowej penetrowała groby Inków umieszczone w skalnej ścianie Petaka, liczącej 450 m wysokości. W niedostępnych grotach grobowych znaleziono mumie owinięte w całuny oraz sprzęty i naczynia kultowe. Wejścia do grot są obudowane i ozdobione rzeźbami. W jaki sposób ich twórcy docierali w ścianę — nie udało się wyjaśnić.

● „ÖAV i jego kierownictwo” — to tytuł 7-minutowego filmu pokazującego pracę głównych organów największej w Austrii organizacji górskiej.

● Miesięcznik „Przegląd Paplerniczy” zamieścił w numerze 3/1969 (s. 100—101) artykuł poświęcony pamięci Karola M. Briqueta (1839—1918), zapalnego alpinisty szwajcarskiego, przewodniczącego genewskiej sekcji CAS, a zarazem znakomitego badacza papiernictwa. (J. Kubiśowski)

● Oryginalny jubileusz obchodzi w tym roku dr Josef Prochaska: od lat 50 pełni on urząd

prezesa sekcji „Touristenklub” ÖAV.

● Długie graniówki nie mają w krajach alpejskich zbyt wielu amatorów, warto więc odnotować I zimowe przejście grani Karwendel, dokonane w dniach 5—11 III 1969 r. przez trójkę K. Gürtler, J. Knoll i F. Sint. Grani ma 86 km długości i odcinki o trudnościach VI. Opis przejścia zamieszczają „Mitteilungen ÖAV” 5—6/1969.

● Harcerski Klub Andynistyczny prowadzi zbiórki pieniędzy na budowę schroniska im. Marka Gaińskiego. Stanie ono prawdopodobnie w Playa de la Horqueta, tam gdzie była baza wyprawy „Tatry II”. Cordillera de Santa Clara i sąsiedni Cordon El Plata mają wiele niezdobitych szczytów i problemów, warto więc postawić tam schronisko.

● W dniach 1 i 2 V 1969 r. J. Łabęcki i R. Malczyk z Krakowa dokonali II przejścia drogi J. Potockiego na zach. ścianie turni Batka w Dolinie Małej Łąki. Wysokość ściany ocenili na ok. 100 m, a trudności klasyczne na V (odcinki hakowe H3, 5N). Pierwszego dnia zespół przeszedł tylko i wyciąg i zjechał z powodu złej pogody.

● 50 lat temu, w r. 1919, ukazał się w Zakopanem pierwszy po I wojnie światowej „Przewodnik po Tatrach Polskich i Zakopanem” M. Świerza. W stosunku do wydania z r. 1912 było to opracowanie w większości nowe. Zawierało też opisy lepszych tur wspinaczkowych.

● 11 IV 1969 r. odbyła się w Krakowie w Klubie Dziennikarzy zorganizowana przez Koło Krakowskie konferencja prasowa, poświęcona jubileuszowi 150-lecia alpinizmu polskiego. Konferencję prowadził wiceprezes KW, W. Nowy.

● Direttissime południowej ściany Dachsteinu przeszli po raz pierwszy w zimie F. Berger i A. Precht w dniach 8—10 III 1969.

● W czerwcu 1969 ukazał się pierwszy numer informatora Harcerskiego Klubu Andynistycznego w Buenos Aires. Jak nas poinformował Prezes HKA, W. W. Blicharski, w przyszłości perlo-

dęk ten będzie poświęcał nieco miejsca na omówienie działalności górskiej KW.

● Na obszarze Berner Oberland dokonano minionej zimy kilku wartościowych przejść. Pierwsze zimowe przejścia otrzymały m. in. z górą 1000-metrowe północne ściany Grosshornu (2—3 III, droga Farrera) oraz Fiescherhornu (9—10 III).

● Jak donosi „Taterniczek” nr 15 (1969) w Krakowie ogłoszono konkurs „na najmniej przydatny przedmiot przywieziony na biwak w skałki”. Jak dotąd, drugie miejsce zajmuje kol. J. P., który przywiózł serwis do kawy na 12 osób, pierwsze — kol. W. T., który przywiózł... własną żonę.

● 30 lat temu, 5 III 1939 r., zmarł i spoczął na starym zakopiańskim cmentarzu Jan Gwałbert Pawlikowski, zdobywca Mnicha, jeden z pionierów nowożytnego taternictwa i zasłużony szermierz idei utworzenia TPN.

● „Światowid” nr 11/1969 proponuje, ażeby stary budynek po urzędzie celnym na Łysej Polanie wykorzystać na schronisko PTTK. Myśl bardzo dobra — przykłaśnie jej każdy taternik, zamierzający skoro świt ruszyć w Dolinę Białej Wody, lub późnym wieczorem wrócić ze Słowacji.

● W rejonie Bezingi sukcesem lata 1968 było pokonanie „kantu” północnej ściany Krumkoitu (4680 m). Pięcioosobowy zespół spędził w ścianie 6 dni i wbił 157 haków.

● 7 kwietnia 1969 r. nadeszła do ZG KW kartka pocztowa z pozdrowieniami z Alp austriackich. Nadana została 4 września 1961 r., a podpisała ją m. in. J. Potocki oraz J. i M. Jareccy.

● III tom monografii „W skałach i lodach świata” nasi czytelnicy otrzymają niebawem do rąk. Tom IV, zatytułowany „Od Andów po Himalaje”, ukaże się na początku r. 1970.



Od lewej drogi zespołów: Jagodziński i Matuszewski, 11 III; Domenech i Schramm, 3 III; Jasiniak i Zarowski, 11 III; Domenech i Schramm, 2 III.
Fot. Ryszard W. Schramm

Poznańska wyprawa zimowa w Atlas Wysoki, 1969

STANISŁAW ZIERHOFFER

O wyborze Wysokiego Atlasu jako celu kolejnej wyprawy alpinistycznej organizowanej przez Koło Poznańskie zadecydowały informacje uzyskane od uczestników wyprawy bydgoskiej, z których wynikało, że koszty dewizowe i złotówkowe mieszczą się w możliwościach naszego środowiska, a czas trwania wyprawy da się zmieścić w ramach możliwości do pogodzenia z pracą zawodową uczestników. Zgodnie z posiadanymi informacjami, eksploracja zimowa tych gór miała się ograniczać do rejonu Tubkala i nie przekraczać poziomu wejść turystycznych.

W skład wyprawy weszli: Jerzy Jagodziński, Henryk Jasiniak, Andrzej Matuszewski, Ryszard W. Schramm, Jan Stryczyński (kierownik), Stanisław Zierhoffer (zast. kierownika) i Arkadiusz Żarowski, wszyscy — poza Jagodzińskim — członkowie Koła Poznańskiego. Na terenie Maroka dołączył alpinista francuski, Bernard Domenech, lat 24, członek CAF, który zamieszkiwał przez dwa lata w Maroku i działał tam alpinistycznie. Udzielił on nam szeregu informacji oraz pomocy w kontaktach.

Ostateczna decyzja o wyborze wschodniej części Centralnego Atlasu, a ściślej biorąc otczenia Zauja Ahanzal, jako terenu działalności zapadła dopiero w Maroku. W okresie organizacji wyprawy prowadziliśmy rozeznanie poszczególnych rejonów Atlasu na podstawie piśmiennictwa oraz bezpośredniej korespondencji z organizacjami i poszczególnymi alpinistami w Maroku i Francji: najowocniejszym okazał się kontakt z B. Domenechem.

Najłatwiej dostępny zimą Atlas Marakeski (grupa Tubkala), gdzie w dodatku można oprzeć działalność o istniejące schroniska, stanowił dla nas teren najmniej atrakcyjny, ze względu na najsilniejsze wyeksplorowanie alpinistyczne zarówno latem jak i częściowo zimą. O ile chodzi o Atlas Zachodni, jedyne dostępne informacje pochodziły z relacji polskiej wyprawy w 1934 r. Całkowitą niewiadomą stanowiły możliwości dotarcia tam zimą. Nowsze dane o Atlasie Centralnym, a zwłaszcza o tzw. Dolomitach Marokańskich, mieliśmy w piśmiennictwie i z relacji B. Domenecha. Dane odnośnie stanu dróg w zimie w tym rejonie uzyskać mogliśmy dopiero na miejscu. Wiadomości zebrane w Casablance były niepełne i decyzja wyboru terenu działalności została powzięta w zasadzie „w ciemno”, z możliwością fiaska imprezy.

Wyprawa zorganizowana została w oparciu o dotacje finansowe i materiałowe instytucji i zakładów pracy, głównie z terenu Wielkopolski, oraz środki własne uczestników. Zarząd Główny KW pomógł wyprawie wypożyczeniem sprzętu, załatwieniem paszportów i wiz oraz pomocą ze strony biura ZG. Wydatnej pomocy udzieliło nam Ministerstwo Żeglugi, przyznając uczestnikom przejazdy statkiem jedynie za zwrotem kosztów utrzymania.

Bagaż wyprawy ważył łącznie 1280 kg (w 42 ładunkach), z czego na żywność przypadało 670 kg (ca 500 kg netto), 420 kg na sprzęt ogólny i 190 kg na sprzęt osobisty. Ilość ta okazała się zbyt wielka, niepotrzebny był np. prawie cały sprzęt biwakowy.

Nadmiar żywności wynikał przede wszystkim z przedłużenia się podróży statkiem.

PRZEBIEG WYPRAWY

31 I — wypłynęliśmy ze Szczecina statkiem PZM „Bieszczady”. Do Casablanki przybyliśmy 20 II. Po załatwieniu z pomocą Konsulatu Polskiego formalności celnych, 22 II nastąpił wyjazd wynajętym samochodem ciężarowym do Beni Mellal, skąd autobusem do Uauizart (bagaż na dachu) i dalej wynajętą ciężarówką do Zauja Ahanzal, gdzie przybyliśmy wieczorem 25 II. Ostatni odcinek drogi (ok. 110 km) był bardzo trudny ze względu na zniszczenia dokonane długotrwałymi opadami. Dwudniowy okres lepszej pogody pozwolił władzom terenowym i miejscowej ludności na pospieszne poprawienie drogi.

Bazę wyprawy założono w leśniczówce we wsi Zauja Ahanzal. Pobyt i działalność w tym rejonie trwały do 15 III, kiedy wynajętą ciężarówką przejechano przez Uauizart do Azilal, skąd następnego dnia autobusem do Marakeszu. Tu odłączył się od wyprawy S. Zierhoffer, który musiał wcześniej powrócić do kraju. Pozostali uczestnicy przejechali 18 III do Imilil, skąd podszli do schroniska Neitnera i weszli na Tubkal.

20 III — wyruszyliśmy w drogę powrotną pociągami z Marakeszu do Casablanki i stąd pociągami przez Fez i Użde do Oranu. Z Oranu statkiem „Corse” do Marsylii i dalej pociągami przez Wenecję i Wiedeń do kraju. Przyjazd do Poznania nastąpił 30 III 1969 r.

DZIAŁALNOŚĆ GÓRSKA

28 II — Jagodziński, Jasiniak, Matuszewski i Zarowski wchodzą na szczyt Igursa (pomiędzy Ajui a Uausdramt) jego wschodnią grzędą (pierwsze wejście zimowe, a prawdopodobnie pierwsze w ogóle). — Domenech i Schramm oraz Stryczyński i Zierhoffer dokonują pierwszego przejścia zimowego północnej ściany Ajui najłatwiejszymi, czę-

ściowo różnymi drogami (II), wyznaczonymi w zasadzie przez Centralny Kuluar.

2 III — Jagodziński i Matuszewski wchodzą najłatwiejszymi drogami na Azellę (3236 m) i Astif (3371 m) — prawdopodobnie I wejścia zimowe. — Domenech i Schramm dokonują pierwszego przejścia północnej ściany głównego wierzchołka Timrazina jej środkowym filarem. Nie mogąc z powodu załamania pogody odszukać właściwej drogi zejściowej, schodzą następnego dnia ścianą opadającą ku północy z grani pomiędzy Timrazinem a Astifem, częściowo zjazdami. — Stryczyński i Zierhoffer atakują Żleb Armanda Charleta na Ajui. Trudne warunki śnieżno-lodowe i pyłówki zmuszają ich do wytrawersowania w prawo na filar na drogę Bonet — Pétolot (V). Krawędź plateau Ajui osiągają o 3.30 w nocy, dokonując I zimowego, a II w ogóle przejścia tej drogi.

2 i 3 III — Jasiniak i Zarowski wchodzą nową drogą wiodącą prawą połączką północnej ściany wschodniego wierzchołka Ajui na „Widły”, biwakując w 3/4 wysokości ściany. — Załamanie pogody sprawiło i temu zespołowi duże trudności, zarówno w przejściu drogi jak i w odszukaniu zejścia.

6 i 7 III — Domenech, Stryczyński i Zierhoffer przeprowadzają rekonesans kanionu Akka n'Tazart.

7 III — Jagodziński, Jasiniak, Matuszewski, Schramm i Zarowski dokonują trawersowania najwyższego szczytu tego rejonu — Azurki (3690 m).

11 III — Jagodziński i Matuszewski dokonują pierwszego przejścia zachodniej ściany Astif. — Jasiniak i Zarowski przechodzą nową drogą północną ścianę Timrazina.

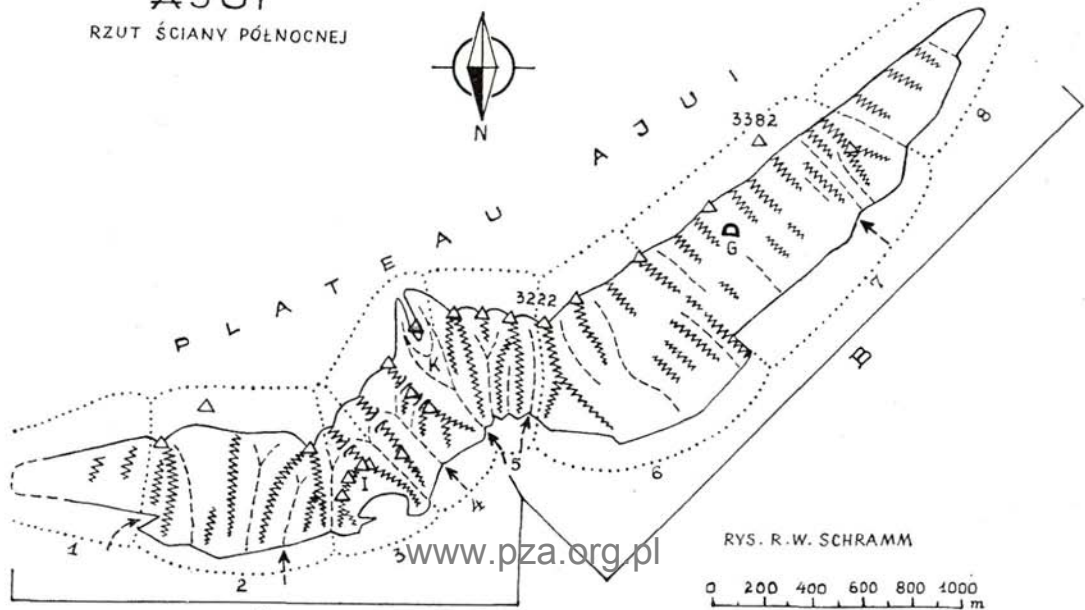
11 i 12 III — Stryczyński i Zierhoffer przechodzą nową drogą wiodącą lewą połączką północnej ściany wschodniego wierzchołka Ajui. — Domenech i Schramm przechodzą nową drogą północno-wschodnią ścianę zachodniego wierzchołka Ajui („Filerem Środkowym”).

15 III — Jagodziński, Matuszewski i Schramm przeprowadzają rekonesans kanionu Akka n'Taria.

18 III — Domenech, Jagodziński, Jasiniak, Matuszewski i Zarowski wchodzą na Tubkal zwykłą drogą od schroniska Neitnera.

A — ściany szczytu wschodniego; B — ściany szczytu zachodniego; I — Igły Ajui; K — Wielki Kuluar Centralny; G — wielka grota. Numery: 1 — Skraj ściany północnej; 2 — północna ściana; 3 — rejon Igły Ajui; 4 — rejon Kuluaru Centralnego i dróg zejściowych; 5 — rejon ostróg; 6 — lewa część ściany północno-zachodniej; 7 — środkowa część ściany północno-zachodniej; 8 — prawa część ściany północno-zachodniej. Strzałkami oznaczono wejścia dróg przebytych przez uczestników wyprawy.

AJUI
RZUT ŚCIANY PÓŁNOCNEJ



RYŚ. R. W. SCHRAMM

0 200 400 600 800 1000 m

Atlas Wysoki — kilka uwag

RYSZARD WIKTOR SCHRAMM

Podany w „Taterniku” r. XVIII (1934) nr 5—6 podział geograficzny Wysokiego Atlasu przyjmował, za Neltnerem, zasięg Masywu Centralnego od Tizi n'Maasz na zachodzie do Tizi n'Tiszka na wschodzie, a całą wielką połączyć na wschód od tej przełęczy, wówczas jeszcze bardzo słabo znaną („najmniej znane góry całej Afryki Północnej”) obszarem zaś większą od „Masywu Zachodniego” i „Masywu Centralnego” razem wziętych, obejmował łączną nazwą „Masywu Wschodniego”. Podział ten utrzymał się w naszej literaturze aż do chwili obecnej (np. „Taternik” 2/1968). Tymczasem dokładne zbadanie Wysokiego Atlasu doprowadziło do zupełnie odmiennego podziału tych gór, który proponuje przyjąć również i u nas, tym bardziej, że Wysoki Atlas stał się ostatnio modny. Podział ten przedstawia się następująco (wg R. Maill'yego; w nawiasach podano najwyższe wzniesienia):

1. *Wysoki Atlas Zachodni* sięgający od wybrzeża atlantyckiego (Cap Ghir) aż po Ued Nfis i Tizi n'Test (szosa Marakesz — Tarudant), który dzieli się na: a) niższą część zachodnią aż po Uead n'Ait Musa i Tizi n'Maaszu i b) wyższą część wschodnią o charakterze częściowo wysokogórskim (Dżebel Igdet 3619 m).

2. *Masyw Tubkala* (*Wysoki Atlas Marakeski*), ciągnący się na wschód aż po Ued Rdat i Tizi n'Tiszka (szosa Marakesz — Uarrazat), którego zasadniczą grupą z 8 szczytami 4-tysięcznymi leży w części zachodniej między dolinami Nfis i Urika (Tubkal 4165 m).

3. *Masyw Teluet* między doliną Rdat i górną częścią doliny Tessaut (Dżebel Anrhom 3607 m).

4. *Wysoki Atlas Centralny* między dolinami Tessaut i Ahanzal (Irhil M'Gun-Amsod 4071 m).

5. *Masyw Imedras i Kuser* między Ued Ahanzal a szeroką depresją jeziora Tisli i doliną Mellul, przejściowy między Atlasem Centralnym a Wschodnim.

6. *Wysoki Atlas Wschodni*, mający jeszcze charakter gór wysokich aż po Tizi n'Talremt, którą przecina szosa Midelt—Ksar-es-Suk (Dżebel Ajaszi 3751 m), a dalej na wschód ciągnący się coraz łagodniejszymi i coraz niższymi łańcuchami (Dżebel Bu Naser 3340 m) aż po zachodni skraj Wyżyny Szot-tów.

Wysokości. Wysoki Atlas Centralny nie ma jeszcze szczegółowych pomiarów topograficz-

nych, stąd też źródła różnią się w podawaniu wysokości, przy czym różnice dochodzą niekiedy do 200 m. W obecnym opracowaniu przyjęto za podstawę mapę Institut Géographique National — Annexe du Maroc, Rabat, Carte de reconnaissance au 100 000, sekcje: Ouauizarht 1—2 (1956), 3—4 (1933), 5—6 (1962) i 7—8 (1933) oraz Dades 1—2 (1947). Mapy te mają bardzo rzadką sieć triangulacyjną, a punkty pomiarowe nie zawsze lokalizowane na szczytach. Szczegóły na odcinkach map nie kontrolowanych po wojnie są często błędne. Poza tym korzystano ze źródeł: R. Maill'y — La Montagne Marocaine w „Villes et Montagnes Marocaines” Wydawnictwo La Porte, Rabat 1964/65; „Carte Michelin: Maroc au 1 000 000 (1966) oraz z rękopiśmiennego oryginału mapy Poste Zaouia Ahanzal 1:25 000, wykonanego w latach 1944—45 przez lieut. Ithiera, a znajdującego się w biurze gminy w Zauja Ahanzal.

Nazewnictwo i pisownia. W opracowaniu przyjęto polską pisownię nazw, nawiązując do opracowań wypraw z r. 1934 („Taternik” 4/1935) i 1967 („Taternik” 2/1968). Obowiązującą w Maroku francuską pisownię nazw podano w nawiasach tylko w przypadkach daleko odbiegających od transkrypcji polskiej. Zarówno pisownia polska jak i francuska oddają często bardzo niedokładnie, a nawet wręcz błędnie, wymowę miejscową, skracającą aż do zaniku większości samogłosek i akcentującą ostatnią sylabę. Tak np. wymowa marokańska nazwy miasta Marakech (polskie Marakesz) brzmi w przybliżeniu M'raksz. Niemal wszystkie szczyty Atlasu noszą przed nazwą właściwą dodatek arabski dżebel (właściwie: dż'bel) lub berberyjski irchil — oznaczające górę. Zarówno w mowie potocznej, jak i w tekście wyraz ten bywa często opuszczany. A oto kilka popularnych na obszarze Wysokiego Atlasu składników nazw miejscowych:

Ait (berb.) — dzieci (nazwy plemion)
Akka (berb.) — głęboka dolina, kanion
Asif (berb.) — potok
Bani (arab.) — synowie (nazwy plemion)
Tizi (berb.) — przełęcz
Ued (arab.) — dolina
Zauja (berb.) — komunalna federacja religijna.

Teren działania Ihanzal

Wyprawa zimowa Koła Poznańskiego KW działała we wschodniej części Wysokiego Atlasu Centralnego. Bazą była wieś Zauja Ahanzal (Zaouia Ahanesal), stanowiąca cen-



Dżebel Ajui. Z lewej północna ściana wierzchołka wschodniego (1), od prawej ograniczona Igłami Ajui (4). Prawą połowę panoramy wypełnia północno-zachodnia ściana głównego (zachodniego) wierzchołka (3). Nr 2 — punkt 3222 m.

Fot. Ryszard W. Schramm

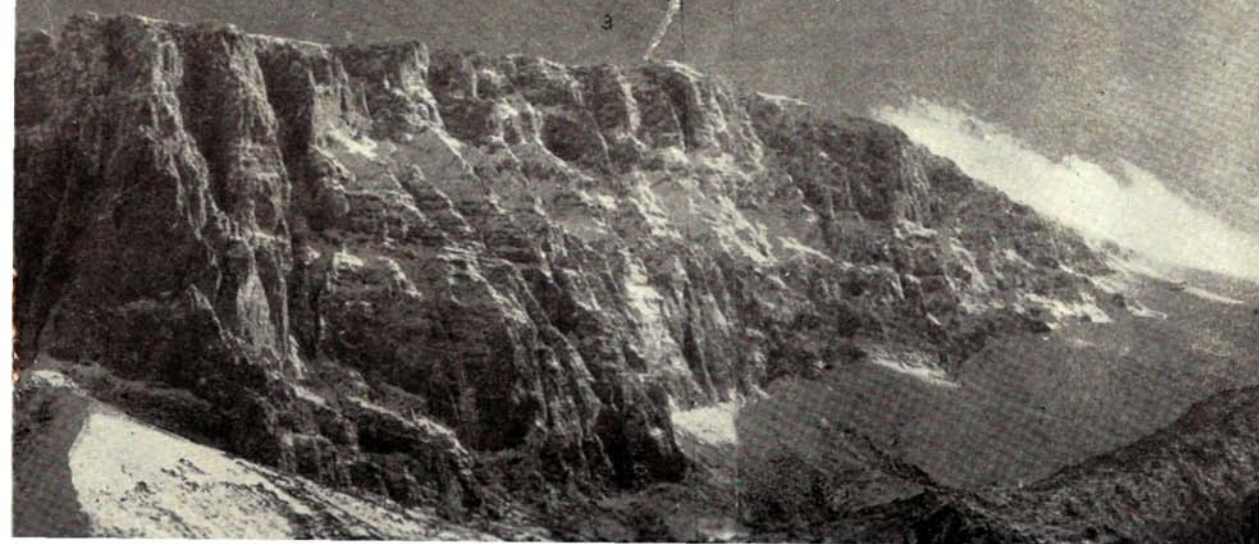
trum niewielkiej krainy śródgórskiej Ihanzal (Ihansalene), obejmującej górne dorzecze Asif Ahanzal, w południowej części prowincji Beni Mellal. Rejon ten należy do najtrudniej dostępnych w całym Wysokim Atlasie.

Pod względem geograficznym Ued Ahanzal tworzy wschodnią granicę Wysokiego Atlasu Centralnego, który na zachód sięga aż do górnej części doliny Tessaut. Na wschód rozciąga się płaskowyż Ait Abdi de Kuser (Koucer), stanowiący przejście od masywu centralnego do masywu wschodniego Wysokiego Atlasu. Cały omawiany obszar zalegają formacje dolomitowe, co odbija się na charakterze i rzeźbie gór. Wysoki Atlas Centralny tworzy w środkowej i wschodniej części rozległe pofałdowane płaskowyże, pocięte głębokimi dolinami, mającymi niekiedy charakter kanionów. Ponad te płaskowyże wyrastają trzy równoległe łańcuchy górskie, biegnące na północny wschód. Są to na północy: Dżebel Tizzal — Irchil n'Ait Uriat — Dżebel Azurki (3690) — Dżebel Ajui (3382); środkowy: Irchil Igudamen — Dżebel Tiferdin — Irchil Uaugulzat (Ouaougoulzat — 3770); wreszcie południowy — łańcuch Irchil M'Gun. Niektóre ze szczytów, szczególnie we wschodniej części, opadają w doliny wielkimi ścianami. Dolomitowy charakter gór sprawia, że wody uciekają tutaj w głąb skał i wydostają się na powierzchnię w formie wywierzyisk, często dopiero na dnie głębokich dolin.

Do zachodniej i środkowej części Wysokiego Atlasu Centralnego dotarła w r. 1934 polska wyprawa („Taternik” XIX, 4/1935), jednakże nie osiągnęła rejonów ciekawych pod względem alpinistycznym — nic też dziwnego, że wystawiła „Masywowi Wschodniemu” opinię „gór narciarskich”. Tymczasem we wschodniej części tego obszaru znajdują się tereny, które w tej chwili wybiły się na czoło rejonów alpinistycznych Wysokiego Atlasu i które kryją w sobie szereg pierwszorzędnych możliwości eksploracyjnych i sportowych. Należy do nich przede wszystkim bezpośrednie otoczenie Zauja Ahanzal. Najwybitniejszą indywidualnością jest tu masyw Ajui, którego północna ściana jest jedyną w Centralnym Atlasie lepiej znaną alpinistom. Drugi piękny obiekt stanowi położony na południowy wschód i dobrze widoczny z Zauja Ahanzal łańcuch Dżebel Timrazin-Isseksi n'Ulmu, kulminujący w szczycie Astif (3371 m). Ma on ok. 8 km długości, a pierwsze drogi otworzyła w nim dopiero nasza wyprawa. Trzecią wreszcie jednostką o wielkich walorach sportowych są nietknięte dotąd 300—500 m wysokie dolomitowe ściany kanionów Akka n'Taria i Akka n'Tazart oraz szczytów Katedry i Kaplicy Taria, leżących na południowy wschód od wioski tejże nazwy.

Zauja Ahanzal, położona na wysokości 1600—1750 m, jest osiągalna dwiema drogami: od północnego zachodu z Azilal przez Ait Mehamed (siedziba nadleśnictwa) — ok. 85 km, i od północy z Uauizart (Ouaouizarht) — ok. 110 km. Są to drogi terenowe, przejezdne tylko okresowo. Na południe i wschód prowadzą z Zauja Ahanzal ścieżki, nie zawsze nawet dostępne dla mulów.

Poza właściwym rejonem Ihanzal leżą dalsze masywy ciekawe z alpinistycznego



punktu widzenia: w środkowym łańcuchu Dżebel Tiferdin i Irchil Uaugulzat oraz na północnym skraju płaskowyżu Ait Abdi de Kuser — masyw Kuser. Tiferdin (ok. 3550) i Uaugulzat (3770) opadają na południe ku górnej partii doliny Asif M'Gun ścianami wielokilometrowej szerokości, osiagającymi wysokość 600 m na pierwszym szczycie i przekraczającymi 800 m w środkowej i wschodniej części wielowierzchołkowego grzbietu Uaugulzat. W rejon ten można dotrzeć od północy z Ait Mehamed terenową drogą jezdnią przez Tizi n'Tirrist (2620) do wielkiej aglomeracji wiejskiej Tabant w górnej części doliny Bugmez (Bou Guemmez), a stamtąd dostępną już tylko dla mułów ścieżką przez Tizi n'Ait Imi między Igudamen i Tiferdin. Dojście od południa jest tu jeszcze dalsze i trudniejsze. Zimą, wskutek zawalenia przełęczy głębokimi śniegami oraz wysokiego stanu wód w potokach jest to rejon praktycznie zupełnie niedostępny. Jego eksploracja letnia nie wyszła jeszcze poza stadium wspinaczek o charakterze rekonesansowym. Północne ściany masywu Kuser (ok. 2950) według niesprawdzonych wiadomości mają osiągać do 1000 m wysokości. Ten rejon jest alpinistycznie zupełnie nietknięty, aczkolwiek wydaje się być stosunkowo łatwo osiągalny terenową drogą prowadzącą z Uauizart do Anergi, leżącego w dolinie ograniczającej od północy całe plateau Kuser. Znacznie bliższe, ale dostępne najwyżej dla mułów, są ścieżki prowadzące z Ued Ahanzal — z Tili-git (Tillouguite) względnie z Temga.

Zimą wieją tu stałe, niejednokrotnie silne wiatry zachodnie, przynoszące dużo wilgoci znad Atlantyku, co powoduje obfite opady śnieżne. Gruba pokrywa śnieżna utrzymuje się przez cały okres od listopada do marca —

stale od wysokości ok. 2500 m, po opadach schodząc znacznie niżej. W połączeniu z temperaturami spadającymi znacznie poniżej zera oraz silnymi wiatrami stwarza to w górach warunki ostrej zimy, zbliżone do zimy tatrzańskiej. Tajanie śniegów oraz opady deszczowe w niższych partiach sprawiają, że w okresie zimowym (listopad — kwiecień) jest tu stosunkowo dużo wody. W końcu marca potoki poczynają stopniowo wysychać i latem woda utrzymuje się poza Asif Ahanzal tylko w bardzo nielicznych miejscach. Skąpa wegetacja osiąga swoje optimum w okresie wiosny. Latem brak opadów i suche wiatry południowe sprawiają, że płaskowyże i wnętrza gór przybierają charakter stepowo-pustynny.

Masyw Ajui

Dżebel Ajui wznosi się w odległości kilku kilometrów na południowy-zachód od Zauja Ahanzal. Stanowi on wschodnie zakończenie północnego z 3 łańcuchów Wysokiego Atlasu Centralnego. Jego szczyt tworzy wysoko wyniesione pofalowane plateau o długości ok. 4 km i szerokości 0,5—1 km, którego najwyższy punkt, leżący w zachodniej części, osiąga 3382 m. Ku południowi plateau to opada zboczem, załamującym się w odległości 1,5—2 km około 400-metrowymi pionowymi ścianami kanionu Akka n'Tazart. Natomiast ku północy i północnemu-zachodowi krawędź plateau urywa się od razu rozległą ścianą o skomplikowanej budowie, przekraczającą miejscami 800 m wysokości. Wcięty w najbardziej cofniętą środkową część ściany wielki kuluar centralny dzieli ją na dwie polacie: wschodnią i zachodnią. Patrzącemu z dołu wydaje się, że kuluar ten spada z głębo-

kiej przełęczy (Brèche de l'Aioui), w której sterczy wybitna turnia (Dent de l'Aioui, Dent de la Brèche). W rzeczywistości plateau w tym miejscu nieznacznie się tylko obniża, a owa turnia łączy się z nim poziomą granią.

Bardzo mocno rozczłonkowana ściana wschodniego szczytu dzieli się na wyraźnie wyodrębnione jednostki: 1) Skraj północnej ściany, dochodzący w prawej części do wysokości 590 m. 2) Właściwą północną ścianę wschodniego wierzchołka, wysokości ok. 800 m w lewej części. 3) Grupę Igieł Aioui (Petite Aiguille, Grande Aiguille, Aiguille de Tigrite), połączoną granią z plateau; ściany Igieł, zwrócone ku północnemu-zachodowi, dochodzą do 450 m wysokości. 4) Rejon wielkiego kuluaru centralnego i dróg zejściowych, zwany także rejonem Przełęczy Ajui, w którym wznosi się kilka podrzędniejszych turni (Marc Bonnet, Petit Grépon, Chicot). Ściany zachodniego szczytu rozpoczynają się bezpośrednio na prawo od kuluaru centralnego charakterystyczną grupą czterech ostróg (5), pooddzielanych wąskimi i stromymi żlebami; ta część ściany ma znowu orientację ściśle północną i ze względu na to oraz bliskość podejścia przynależy do alpinistycznego punktu widzenia raczej do wschodniej połaci ściany. Pozostała połać ściany zachodniego wierzchołka jest znacznie mniej rozczłonkowana i ma w całości orientację północno-zachodnią. Można w niej wyróżnić trzy części: lewą (6) stanowiącą w ogóle najwyższą partię ściany (ponad 800 m), środkową, najslabiej urzeźbioną, o wysokości ok. 700 m (7), sięgającą aż do jedynej w całej tej połaci nieco wybitniejszej turni, i prawą (8), obniżającą się stopniowo aż do zupełnego zaniknięcia w skałach i piargach.

Cały masyw Ajui zbudowany jest z doloemitów koloru piaskowego w miejscach położonych, a rdzawo-ceglastego na odcinkach pionowych i przewieszonych. Skała jest szorstka, bardzo przyczepna i na ogół pewna. W ścianie znajduje się ogromna ilość jaskiń o średnicy wylotu rzadko przekraczającej kilka metrów, na ogół bardzo trudno dostępnych i często niewidocznych z daleka. Wylot olbrzymiej jaskini znajduje się w samym środku północno-zachodniej ściany, ok. 150 m poniżej krawędzi plateau (G). Warstwy mają upad południowo-wschodni i wskutek odpływu wód w tym kierunku całe podnóżę ściany aż do potoku Asif n'Illissi oraz sama ściana są praktycznie zupełnie suche. Jedyna (prawdopodobnie) woda występuje w dole żlebu oddzielającego Igły Ajui od północnej ściany.

Ajui był jedynym szczytem na terenie Ihanzaleni mającym do czasu działalności naszej wyprawy swoją kartę alpinistyczną. Alpinistyczne odkrycie zawdzięcza on przewod-

nikom (moniteurs) marokańskiej Service de la Jeunesse, którzy przeprowadzili w te strony rekonesans w 1948 r. Pierwszą drogę poprowadzili P. Doumergue, M. Pelletier i M. Renner w listopadzie 1950 r.; było nią wejście prawym żebrem grupy Igieł Ajui na Aiguille de Tigrite (IV). W październiku 1951 bawiła w Zauja Ahanzal grupa przewodników ENSA, dokonując 3 nowych wejść. A. Contamine, M. Mora i R. Thomas weszli nieco odmienną drogą północno-wschodnim żebrem na Aiguille de Tigrite, z niej na Grande Aiguille, a następnie granią na plateau szczytowe (IV). L. Pez i G. Robino weszli na p. 3222 grzędą „przez rygiel” (wg francuskiej nomenklatury Arrete de Verrou, IV-IV+), a A. Charlet i R. Mailly przebyli wąski i stromy żleb wybiegający na lewo od p. 3222 (IV, 2 miejsca V). Latem 1952 r. działały w Ajui dwie niewielkie grupy. J. Rafflin i M. Rives przeszli pierwszą drogę w całej właściwej północno-zachodniej połaci, wyprowadzając nieco na lewo od najwyższego punktu plateau (IV, 1 miejsce V). Następnie zdobyli Petit Grépon i wyszukali najłatwiejsze przejście całej ściany: lewym (wschodnim) ramieniem wielkiego kuluaru centralnego, a w końcu zaatakowali bez powodzenia najwsporniejszą z ostróg, bezpośrednio na lewo od żlebu Charlet-Mailly (Éperon d'Ihanzalene). Szwajcar Marc Bonnet i P. Pétolet przeszli w tym samym roku żebro położone bezpośrednio na prawo od żlebu Charlet-Mailly i łączące się w górze z Arrete de Verrou (IV-V). Ta sama dwójka wraz z D. Villardem zaatakowała Éperon d'Ihanzalene, ale musiała się cofnąć mniej więcej z tego samego miejsca co i poprzednicy. W odwrocie M. Bonnet poniósł śmierć na skutek wyrwania haka zjazdowego. W jesieni 1953 przybyła w te strony liczniejsza grupa alpinistów. J. Magnin i R. Mailly wraz z czterema towarzyszami wyszukali stosunkowo łatwe dojście prowadzące żlebem między Petit Grépon a turnią z lewej (wschodniej) strony, która otrzymała nazwę Marc Bonnet, do ciągu przełazek biegnących pod szczytowym spiętrzeniem ściany poza Igłami Ajui oraz grupą turni w rejonie dróg zejściowych (Col des Aiguilles, Col des Chèvres, Col du Chicot). Wreszcie 10 IX J. Magnin, R. Mailly i G. Pons wraz z trzema towarzyszami przeszli wybitny żleb przecinający lewą połać północno-zachodniej ściany (IV+, jedno miejsce VI).

Po tym początkowym okresie dość intensywnej eksploracji masyw Ajui przestał być na 15 lat odwiedzany przez alpinistów, którzy skierowali swe wysiłki ku łatwiej dostępnemu choć znacznie mniej ciekawemu rejonowi Tubkala. Dopiero latem 1968 r. przybyła tu dwójka młodych alpinistów francuskich: B. Amy i B. Domenech, którzy operując z biwaku założonego o kilkaset metrów

poniżej podnóża Igieł Ajui zrobili trzy nowe piękne drogi: północno-zachodnią ścianą Aiguille de Tigrite (V+), atakowaną już dwukrotnie ponad 600-metrową ostrogą Ihanzalen (V+, H2) oraz północną ścianą wschodniego szczytu (V).

W ten sposób do chwili przybycia naszej wyprawy w przeszło 4-kilometrowej ścianie Ajui, poza kilkoma łatwiejszymi drogami skupionymi w rejonie Przełęczy Ajui, istniało 9 dróg wspinaczkowych dużej klasy (IV-VI, długości 450 — 850 m), skupionych głównie w najbardziej rozczłonkowanych partiach: w rejonie ostróg i przyległej części lewej połaci północno-zachodniej ściany oraz w rejonie Igieł Ajui. Wyprawa Koła Poznańskiego

dodała do nich trzy nowe drogi, należące na pewno do najwspanialszych. Pozostały jednak jeszcze niemal nietknięte całe kilometrowe połacie ściany północnej, a zwłaszcza północno-zachodniej. Otwierają one możliwości wytyczenia dziesiątek wielkich dróg, prowadzonych różnymi formacjami i o bardzo wysokich trudnościach.

BIBLIOGRAFIA:

- R. Maillly: *La montagne Marocaine* w „Villes et Montagnes Marocaines, Guide Touristique” Ed. La Porte. Rabat 1964—65.
M. Rives: *Dolomites Marocaines*, „Alpinisme” 106 (1963) s. 315—323.
A. Amy et B. Domenech: *Au Maroc: escalades dans le massif de l'Aiout*, „La Montagne” 94 (1963) s. 365—370.

Łódzka wyprawa zimowa w Atlas Wysoki, 1969

JERZY MICHAŁSKI

Zimowa Wyprawa Klubu Wysokogórskiego w Atlas Wysoki została zorganizowana przez środowisko łódzkie, dzięki wydatnej pomocy władz miasta, instytucji i zakładów pracy zlokalizowanych na terenie Łodzi, Fabryki Samochodów Ciężarowych z Lublina oraz pomocy ZG KW, a w szczególności prezesa Czesława Bajera. Inicjatorem i organizatorem wyprawy było Koło Łódzkie KW, a jej przygotowaniem roboczo zajmował się Komitet Organizacyjny złożony z 10 osób.

Celem wyprawy było zbadanie w okresie zimy rejonu Tubkala — jednego z najciekawszych alpinistycznie masywów Atlasu Wysokiego oraz dokonanie tam pierwszych wejść zimowych. Wyprawa była pomyślana jako kontynuacja i rozszerzenie działalności polskiej w Atlasie Wysokim.

W wyprawie brało udział 7 członków Klubu Wysokogórskiego z Łodzi, wybranych z grona 20 kandydatów wytypowanych przez Komisję Sportową: Maciej Gryczyński (lekarz), Stanisław Jaworski (filmowiec), Jacek Jedliński, Wojciech Jedliński, Jerzy Michałski (kierownik), Wiesław Niedzielski i Stanisław Zygmunt Zdrojewski.

OGÓLNY PRZEBIEG WYPRAWY

1 — 20 II — wyprawa dociera do Casablanki na pokładzie M/S „Bieszczady” — łącznie z „Zukiem” wypożyczonym z FSC w Lublinie.

21 — 24 II — załatwianie formalności w Casablance oraz przerzucenie „Zukiem” uczestników i bagażu przez Marakesz do wsi Imilil, położonej na wysokości 1550 m i stanowiącej punkt wypadowy w góry — do doliny Ait Mizan.

25 II — 13 III — formowanie karawany; rozbięcie bazy w schronisku Neltnera; działalność górską w otoczeniu doliny Ait Mizan.

14 — 17 III — powrót do Marakeszu, przepakowanie bagażu, przejazd w „Dolomity Marokańskie” pod tzw. Katedrę.

18 — 19 III — przeprowadzenie rekonesansu wzdłuż doliny, zablokowanej przez ulewne deszcze.

20 — 27 III — powrót do Casablanki przez południowe podnóża Atlasu i wybrzeże atlantyckie. Wizyta u ambasadora PRL w Rabacie, p. Niedbalskiego.

27 III — 7 IV — przejazd przez Rabat, Meknes i Fes do Berkane.

8 — 9 IV — dojazd do Algieru, gdzie załadowano całość wyprawy na prom udający się do Marsylii.

11 IV — wyprawa osiąga Marsylię.

12 IV — przejazd do Chamonix, gdzie planowano dokonać kilku wspinaczek w rejonie Mont Blanc. Wybitnie zła pogoda przekreśliła te plany.

15 — 20 IV — powrót do kraju.

OSIĄGNIĘCIA SPORTOWE

Terenem działania wyprawy był rejon Tubkała (4165 m), a w szczególności najbliższe otoczenie doliny Ait Mizan, stanowiące gniazdo najwyższych 4-tysięcznych szczytów Atlasu Wysokiego.

Poprowadzono 4 drogi całkowicie oryginalne, których skrócone opisy podajemy w zestawieniu „Nowe drogi w Atlasie Wysokim” (s. 136) Oto ich wyczerpujące:

1. Kopa Uanums (3970 m) filarem zachodnim: Gryczyński i Michalski, 5 III.

2. Bu-Uzzal (3740 m) środkiem zachodniej ściany: Jaworski, Niedzielski i Zdrojewski, 5 III.

3. Tubkał Zachodni (4010 m) południowym filarem: W. Jedliński i Michalski, 10 III.

4. Aguelzim (3860 m) wschodnią ścianą: Jaworski i Michalski, 2 III.

Dokonano również 6 pierwszych przejść zimowych, a mianowicie*:

1. *Tubkał* (4165 m) zachodnią grzędą: Niedzielski i Zdrojewski, 28 II. Trudności IV, 8 godzin. Droga ciekawa, pokonująca dużą różnicę poziomów. Grzędą kulminuje nad schroniskiem w turni, której czołowa ściana tworzy charakterystyczny trójkąt. Grzędą wprost i nieco z lewej strony ostrza aż na wspomnianą wyżej turnię, a następnie przez szereg żandarmów na wierzchołek Tubkała.

2. *Tadaft* (3746 m) północno-zachodnim filarem: J. Jedliński i W. Jedliński. Trudności IV, 6 godzin. Droga prowadzi ostrzem filara, w którym znajduje się szereg turniczek i uskoków, wymagających zjazdów i dobrej asekuracji. 6 marca.

3. *Grań szczytów Uanums*: W. Jedliński, Michalski i Zdrojewski, 1 III. Trudności IV. Czas przewodnikowy 6—8 godzin. faktyczny czas przejścia: 3½ godz. Grań piękna i bardzo eksponowana. Pokonano kolejno następujące szczyty — od przełęczy Tizi n'Uanums: Monolith, Ressaut I, Ressaut II, Tour I, Tour II, Tour III, Kopa Uanums (3970 m), Tubkał Zachodni (4010 m).

4. *Grań turni Uenkrim* od Aguelzimu do Tizi n'Uagan. Masyw Uenkrim stanowi skupisko szczytów 4-tysięcznych. Trudności II-III i III. Drogę przebył w dniu 8 III cały zespół z wyjątkiem Zdrojewskiego. Droga wiodła przez szczyty: Aguelzim (3860 m), Biginuisseine (4002 m), Affella n'Uenkrim (4040 i 4030 m), Akiud n'Bu Imhras (4030 m, 4040 m, 4000 m).

5. Dalsza część *grani n'Uenkrim* (4033 m, 4080 m), Timesgida n'Uenkrim (4086 m) do Tizi n'Uagan (3700 m) i poprzez 4-wierzchołkowy Bu-Uzzal (3780 m) do Tizi n'Uanums (3664 m): W. Jedliński i Michalski, 9 III, oraz

* Przejścia kwalifikujemy jako pierwsze na podstawie szczegółowej analizy ksiąg wyjść znajdujących się w schronisku Neltnera, z tym jednak, że brak w nich czterech roczników z lat 1956—1959.

J. Jedliński i Niedzielski do przełęczy Tizi n'Uagan, 10 III.

6. *Biginuisseine* (4002 m). III przejście zimowe prawej części wschodniej ściany — przypuszczalnie nowymi wariantami: J. Jedliński i Niedzielski, 2 III. Trudności III, czas przejścia 4 godziny. Droga prowadzi wybitną grzędą, która w dolnej części posiada dwa ramiona. Prawym ramieniem wprost w górę na wierzchołek.

Poza tym przebyto inne drogi poprzednio zimą poznane, m.in. zwyczajną drogę na Tubkał (4165 m): W. Jedliński, Jaworski i Michalski w dniu 27 lutego, Gryczyński i J. Jedliński 28 lutego oraz Jaworski 10 marca.

Wydało się, że wyniki osiągnięte przez wyprawę są dobre i stanowią dalszy krok w zimowej eksploracji Atlasu Wysokiego. Dokonanie takiej ilości wspinaczek było możliwe tylko dzięki korzystnym warunkom wspinaczkowym i pogodowym oraz dzięki znakomitemu przygotowaniu uczestników.

W czasie pobytu w górach przeprowadzono również obserwacje meteorologiczne, zebrano ok. 100 kg próbek skał i okazów flory z różnych rejonów i wysokości — wszystko według wskazań Uniwersytetu Warszawskiego, któremu te materiały zostały przekazane do dalszego opracowania. W czasie pobytu w Maroku nakręcono też 4 filmy krótkometrażowe, a mianowicie: z działalności górskiej, z życia Berberów, o kobiecie marokańskiej (wszystkie dla Telearu) oraz dla FSC Lublin reklamówkę „Zuka” na taśmie kolorowej. Na użytek tejże fabryki przeprowadzono też szczegółową obserwację samochodu i sporządzono na ten temat dokładne sprawozdania.

REJON DZIAŁANIA I WARUNKI

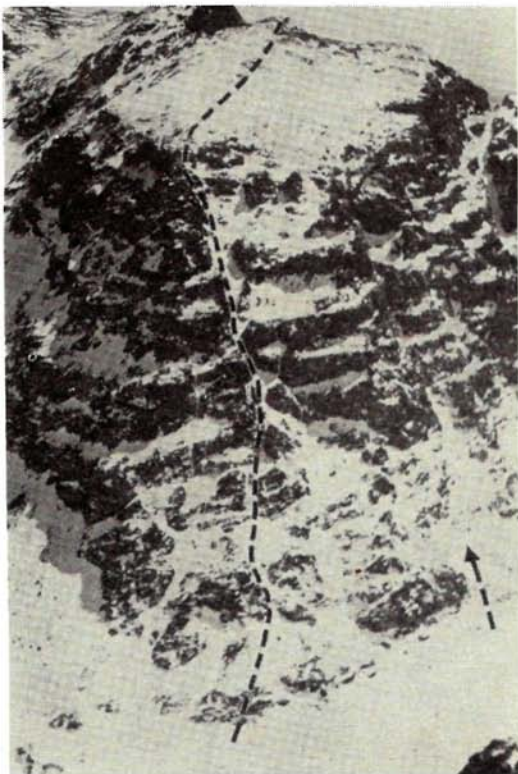
Dolina Ait Mizan, gdzie wyprawa łódzka założyła bazę, jest doskonale znana z działalności polskich ekspedycji z lat 1934 i 1967. Zimą byliśmy pierwszymi Polakami podejmującymi wspinaczki w tym rejonie Atlasu Wysokiego. Przed nami działało tu zimą kilka wypraw angielskich, szkockich, hiszpańskich. Niektóre z nich spędziły w górach trzy miesiące mając na swoim koncie zaledwie kilka wspinaczek, inne nie zrobiły niczego, wreszcie jedna z nich wybrała sobie jako cel eksploracji zimowej skałkę o nazwie „Triangul”, intensywnie działając i przecho- dząc kilkanaście dróg 2-3 wyciągowych (!). Szczegóły dotyczące działalności zimowej innych wypraw zostały przez nas dokładnie spisane i znajdują się w Kole Łódzkim. Należy tu stwierdzić, że dolina Ait Mizan jest najbardziej wyeksploatowaną z dolin Atlasu Wysokiego, chociaż jeszcze i tu można znaleźć kilka ciekawych problemów zimowych, jak np. ściany Ras, Affelli i inne. Natomiast w dolinach sąsiednich, problemów znajduje

się wiele, a wśród nich południowe ściany Tubkala i Tubkala Zachodniego, filary płaskowyżu Tazarhard itp. Interesującym przedsięwzięciem byłaby chyba również próba przejścia grani masywu Tubkala lub całego Wysokiego Atlasu Marakeskiego.

Gniazdo szczytów 4-tysięcznych okalających dolinę Ait Mizan, jak również inne szczyty sąsiadujące z doliną, czynią ten rejon Atlasu bardzo zbliżonym do Alp. Znaczna wysokość wierzchołków, duże zaśnieżenie, odcinki lodu znajdujące się w ścianach, na przemian kruche i lite skały — wszystko to razem sprawia, że wspinaczka jest bardzo interesująca i czasem podobna do wspinaczki alpejskiej zimą, czasem znów do tatrzańskiej. Oczywiście nawet najciekawszy rejon Wysokiego Atlasu nie może dorównać np. grupie Mont Blanc, a to z powodu mniejszej wysokości ścian (w tej części Atlasu osiąga ją one najwyżej 1000 m), w sumie niższych trudności (duża erozja), braku lodowców, wreszcie mniejszej szerokości pasma górskiego, które w eksplorowanym rejonie ma ok. 20 km szerokości. Skała w tej części nie jest jednorodna, a niefachowcowi rzucają się w oczy przede wszystkim liczne kryształki górskie, których gniazda spotykaliśmy tak na wspinaczkach, jak i w czasie drogi dojazdowej. W tej samej formacji skalnej, na przykład w filarze Kopy Uanums, występowały obok siebie piękne lite skały i warstwy łupków tak kruchych, że ich przejście nie było możliwe bez spowodowania lawiny kamiennej, mimo panującej zimy. W ścianach i na graniach obserwowaliśmy masy luźnych bloków i kamieni, co zdaje się świadczyć, że wspinaczkowo rejon ten nie jest zbyt obciążony.

Zaśnieżenie strony południowej jest znacznie mniejsze niż północnej, ponieważ operacja słoneczna na tej szerokości geograficznej jest bardzo intensywna. Stąd też stoki południowe są bardzo lawiniaste, o czym mogli przekonać się dwaj nasi koledzy, którzy porwani przez lawinę w czasie podejścia pod ścianę Affelli zjechali ok. 300 m w dół. Granica śniegu przebiegała w czasie naszej działalności na wysokości ok. 2700 m i nie ulegała przesunięciom.

Statystyczna prognoza pogody, według opracowania przygotowanego dla nas przez Uniwersytet Łódzki, przewidywała dla strefy naszego działania opady rzędu 200 mm na miesiąc, a zatem około dwukrotnie obfitsze, niż średnio w Tatrach. Wbrew tym zapowiedziom wyprawa trafiła na okres pięknej słonecznej pogody, trwającej niemal cały czas. Mieliśmy jedynie dwa krótkie okresy zachmurzenia, połączone z opadem śniegu i brakiem widoczności. Temperatura maksymalna jaką zanotowano w słońcu wynosiła +45 stopni, najniższa nocą — minus 25 stopni. Na ogół nocami utrzymywał się mróz ok.



Kopa Uanums (3970 m) — nowa droga zachodnim filarem (grzędą): M. Gryczyński i J. Michalski. Strzałka wskazuje przybliżony kierunek drogi ze spodu bydgoskiego „Taternik” 4/1967, s. 157).

Fot. Stanisław Jaworski

Uskok I dziewiczej turni na grani Uanums — pierwsze przejście zimowe.

Fot. Jerzy Michalski





Biginuisen (4002 m) z trasą III przejścia zimowego ściany oraz — po prawej — Aguelzim (3860 m) z trasą nowej drogi S. Jaworskiego i J. Michalskiego. Widok z górnej części doliny Ait Mizan.

Fot. Stanisław Jaworski

10-stopniowy, w dzień zaś temperatura wynosiła średnio ok. 30 stopni.

SPRZĘT I ŻYWNÓŚĆ

Zestaw sprzętu potrzebnego na działalność górską w Wysokim Atlasie nie odbiega od zestawu alpejskiego, z tą tylko różnicą, że ilość haków lodowych powinna wynosić 1-2 na jedną wspinaczkę.

Zestaw żywności różni się od zestawu alpejskiego koniecznością posiadania chleba, owoców, mleka. Wprawdzie można zorganizować dostarczanie artykułów ze wsi, ale pociąga to za sobą dodatkowe koszty. Wyprawa zabrała więc chleb w puszkach, przygotowany przez Instytut Piekarniczy w dwu gatunkach: razowy (chętnie spożywany) i pszeniny (cena ok. 10 zł za kilogram). Jakość jego była bardzo dobra. Według zapewnień Instytutu, chleb taki może leżeć w dowolnych warunkach przez okres dwu lat; w czasie trwania wyprawy stwierdziliśmy lekkie spleśnienie jednego tylko bochenka. Owoce liofilizowane produkują zakłady w Winiarach w pobliżu Kalisza (maliny, truskawki), również puszkowane po 1/2 kg w cenie ok. 200 zł. Są one bardzo smaczne w kompotcie, nie nadają się jednak do spożycia bez przygotowania. Błędem wyprawy było pakowanie większości produktów w opakowania z folii. Wprawdzie żywność przechowywała się doskonale, ale niektóre asortymenty przesiąknęły nieprzyjemnym zapachem, jak np. cukierki, czekolada, czy herbatniki.

PODSUMOWANIE I WNIOSKI

Nie ulega wątpliwości, że statki polskie pływające na liniach zachodnio-afrykańskich są dla nas najekonomiczniejszym środkiem transportu. Stroną ujemną jest stosunkowo długi czas potrzebny w porcie na przygotowanie statku do wyjścia w morze, jak również zawijanie do portów po drodze. Dlatego też wydaje się, że najszybszym i najtańszym sposobem dojazdu jest podróż pociągiem do Genui, a stamtąd statkiem polskim, który po wyładowaniu węgla płynie do Casablanki po odbiór fosfatów. Z doświadczeń naszej wyprawy wynika, że do swobodnego poruszania się po terenie Maroka i zmian rejonu działania, najkorzystniejszym środkiem transportu jest samochód dostawczy typu „Żuk” lub „Nysa”. Dla małej 5—6 osobowej wyprawy jego pojemność w zupełności wystarcza, by zabrać całość bagażu.

Podsumowując naszą wyprawę trzeba stwierdzić, że przyniosła ona nie tylko dobre wyniki sportowe, ale i propagandowe. Duże zainteresowanie naszą działalnością wykazała prasa marokańska, która zorganizowała dwie konferencje przed i po wyprawie. W wyniku tych spotkań ukazało się szereg artykułów w *Le Petit Marocain*, *L'Opinion*, *Le Continent Sport* i innych. Wiele uwagi poświęcało nam też społeczeństwo marokańskie, które bardzo serdecznie ustosunkowywało się do nas — zarówno na trasie przejazdu, jak i w czasie pobytu w górach. To samo można powiedzieć o władzach marokańskich — centralnych i terenowych, jak np. gubernatorzy

provincji czy kaidowie na terenie swoich gmin. P. Lakaufi, dyrektor departamentu sportu w Ministerstwie Sportu i Młodzieży, wykazywał duże zainteresowanie nawiązaniem ewentualnej współpracy między alpinistami marokańskimi i polskimi w zakresie wymiany doświadczeń, instruktorów itp. Bardzo pomogła wyprawie Polonia marokańska — p. ambasador Niedbalski, pracownicy Konsulatu, a w szczególności pp. Nawroccy, Szczypiorscy, Szymański i inni.

Nasze wnioski z wyprawy pokrywają się po części z tymi, jakie zgłaszają koledzy z Poznania. Wydaje się więc celowe kierowanie i w przyszłości lekkich środowiskowych wypraw zimowych w Atlas Wysoki, jako

przygotowanie uczestników do poważniejszych wypraw typu himalajskiego. Problemów w Atlasie jest jeszcze wiele i nie powinno zabraknąć Polaków w ich rozwiązywaniu. Momentem zachęcającym jest też fakt stosunkowo niskich kosztów złotówkowych i dewizowych oraz względnie łatwy dostęp do gór. Lekkie środowiskowe wyprawy należałoby wysłać w „Dolomity Marokańskie” — zarówno latem, jak i zimą, w celu rozwiązywania licznych tam problemów wspinaczkowych. Jako punkt wyjścia do dalszych wypraw postulujemy wymianę sprzętu biwakowego i częściowo wspinaczkowego posiadanego obecnie przez ZG KW na nowy, co oszczędzi w przyszłości wyjeżdżającym licznych kłopotów i niespodzianek.

W jaskiniach Meksyku

MACIEJ KUCZYŃSKI

Dnia 17 stycznia 1969 r. na pokładzie M/S „Polanica” wyruszyliśmy z Gdyni jako uczestnicy zorganizowanej przez Klub Wysokogórski wyprawy do jaskiń Meksyku. Było nas pięciu: Ryszard Gradziński, Bernard Koisar, Kazimierz Kowalski, Maciej Kuczyński (kierownik wyprawy) i Wojciech Skarżyński. 7 lutego statek przybył do portu w Tampico, gdzie oczekiwał nas przedstawiciel ambasady PRL oraz prezes Grupo Espeleológico Mexicano (GEM), Jorge de Urquijo Tovar wraz z trzema członkami tej grupy, która zaprosiła wyprawę polską. Po załatwieniu formalności ruszyliśmy do stolicy wozami osobowymi, zaś 800 kg naszego bagażu — willysem pick-up.

Dziewięć dni spędziliśmy w Meksyku, mieszkając w domu prezesa GEM — jedynej tu zarejestrowanej organizacji zajmującej się badaniami jaskiń. Utworzona w r. 1964, liczy ona 27 członków. Był to pierwszy osobisty kontakt speleologów obu krajów. Urządzono przyjęcie zapoznawcze z występami orkiestry ludowej, wyprawę podjął też ambasador PRL, Ryszard Majchrzak, a o jej celach doniosła prasa i radio.

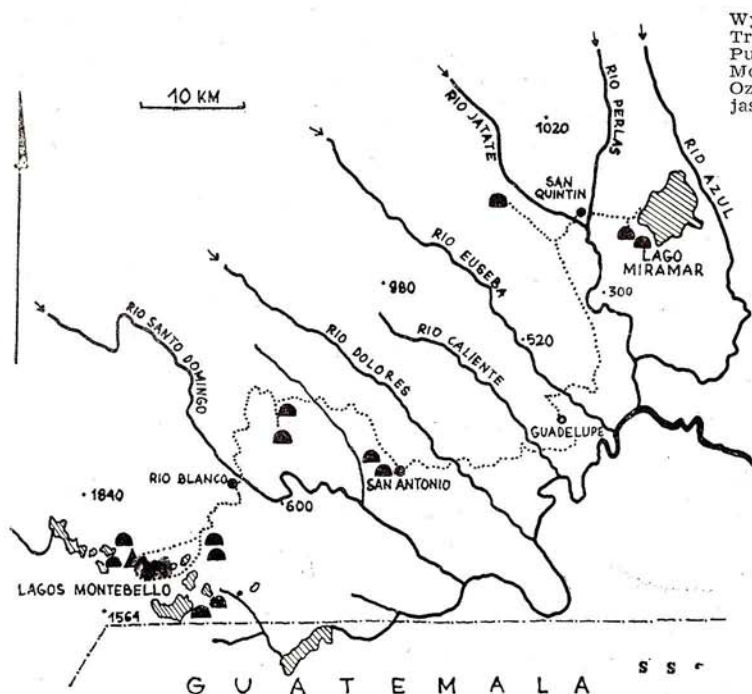
Uzgodniono, iż działalność rozpocznie wyjazd do nieznanej pod względem speleologicznym Selvy Lakandonów w stanie Chiapas, po czym nastąpi atak na głęboką jaskinię Sotano de San Agustín w stanie Oaxaca. Do Chiapas miał z nami wyruszyć jeden członek GEM, do Oaxaca — 8 lub 10 osób z tej organizacji. Otrzymaliśmy liczne listy polecające oraz specjalne zezwolenia Ministerstwa Leśnictwa na polowanie i zbieranie okazów oraz obozowanie w parkach narodowych.

Szczegółnej pomocy udzielił nam Instituto Nacional Indigenista (INI) — Urząd do Spraw Tubylców, potężna autonomiczna instytucja, której placówki terenowe otrzymały przez radio wiadomość o naszym przybyciu.

Pierwsze przejścia

Przed wyruszeniem postanowiliśmy dokonać próby sił w najdłuższej jaskini Meksyku — Rio San Geronimo. 16 lutego wpłynęliśmy do jej wnętrza z kilkunastoma osobami z GEM. Jaskinia jest gigantycznym tunelem o wysokości 50 m, którym płynie rzeka, po 6 km ukazująca się znów na powierzchni. Po kilkuset metrach pływania w głębokim murcie można było się wynurzyć, aby maszerować poprzez kamieniste bystrza i progi małych wodospadów lub trawersować po dobrze urzeźbionych ścianach. Miejscami, gdzie woda z ogromną szybkością wpadała do wąskich kanionów, konieczna była asekuracja linowa. Przejście, dokonane w bardzo zimnej wodzie, zajęło 8 godzin. Bezpośrednio po tym nastąpił powrót do Meksyku samochodami. O godzinie 2 jedno z aut wpadło na drzewo wskutek zaśnięcia kierowcy, wybitnego alpinisty jaskiniowego, członka zarządu GEM, L. A. Linaje, który zginął na miejscu. Jego towarzysz odniósł ciężkie obrażenia, dwaj inni zostali poturbowani łez. Po wypadku GEM odwołał udział swego członka w wyprawie do Chiapas.

20 lutego ruszyliśmy autobusem do odległego o 1040 km San Cristobal de las Casas, gdzie w ośrodku INI otrzymaliśmy do dyspozycji luksusowy bungalow oraz półcieżarówkę willys. Uzupełniliśmy tu sprzęt zakupując



Wyprawa do jaskiń Meksyku. Trasa przebyta przez grupę w Puszczy Lakandonów od jezior Montebello do jeziora Miramar. Oznaczono otwory ważniejszych jaskiń. Rys. Maciej Kuczyński

m. in. maczety. Zasięgnęliśmy też opinii znawców selwy (puszcza południowoamerykańska). Uznano, że trasa wybrana przez nas nastroży olbrzymie trudności: puszcza jest tutaj bardziej zwarta niż nad Amazonką, obfituje w trudne przeprawy przez rzeki. Drogi do „interioru” używane przez inne wyprawy prowadziły od północy lub zachodu, niekiedy dolatywano samolotem do lądowiska wyciętego w puszczy. Utwierdziło nas to w zamiarze przejścia najmniej znanych rejonów od południa.

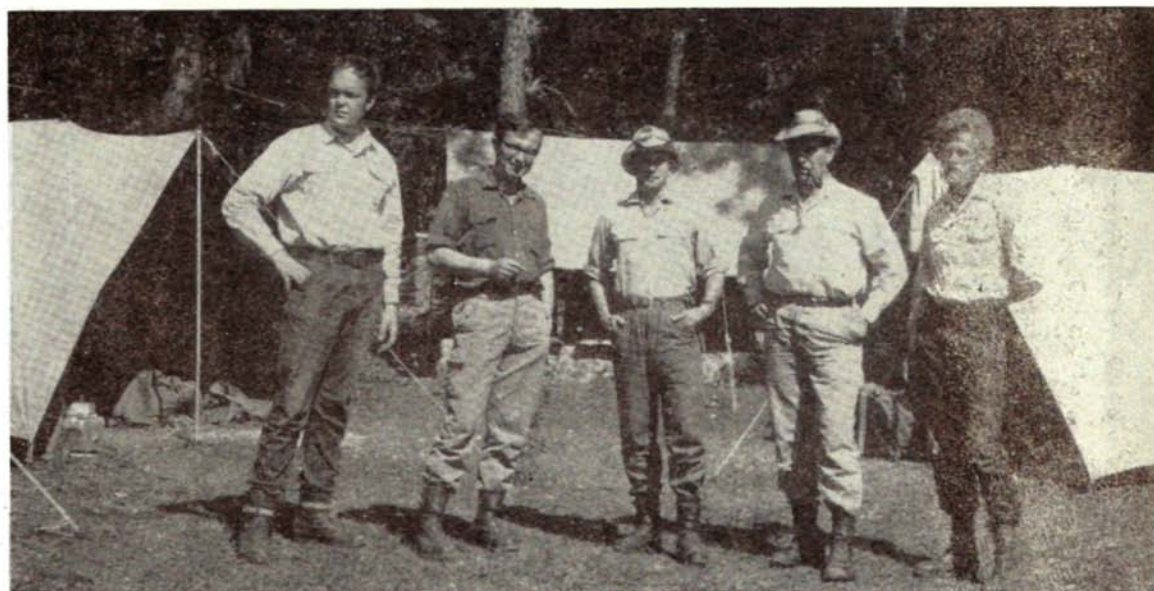
Dwa dni spędziliśmy na wyjazdach w okolicy, przechodząc 4 jaskinie — wraz z członkami miejscowej grupy speleologicznej pod kierunkiem Vicente Kramsky'ego, zrzeszającej m. in. właściciela wytwórni konserw, a także właściciela piekarni i ciastkarni, co w znakomity sposób rozwiązywało problemy zaopatrzeniowe.

Samochodem INI, odprowadzani przez wicedyrektora ośrodka, dotarliśmy szosą przez Comitán do parku narodowego Montebello, leżącego na granicy Gwatemali i obejmującego teren 365 jezior. Obóz namiotowy rozbiliśmy w pobliżu domu strażnika parku. Niestety, zamiast wyruszyć od razu w głąb selwy musieliśmy oczekiwać tu zgody na przedłużenie wiz, które — wydane w Polsce — opiewały tylko na 30 dni.

Dwa tygodnie poświęciliśmy intensywnym poszukiwaniom jaskiń. Dokonywaliśmy marszów w promieniu kilkunastu kilometrów, a

niekiedy i dalszych, dwudniowych, transportując sprzęt na mule lub przepływając jeziora łodzią pneumatyczną. Obszar Montebello położony na wysokości ok. 1400 m n.p.m. zbudowany jest z wapieni tworzących kopaste wzgórza o wysokości względnej dochodzącej do 200 m. Doliny wypełnione są jeziorami o kształcie zbliżonym do kolistego, często jedno od drugiego oddzielone jest za ledwie groblą skalną. Góry pokrywa zwarty las sosnowy, a konary dźwigają całe wiszące ogrody tropikalnych roślin nadrzewnych. W niższych partiach, nad jeziorami, sosny giną wśród gąszczy lian, paproci drzewiastych, agaw i palm.

Dotarliśmy do 14 jaskiń wskazanych przez przewodników, dokonując pierwszych ealkowitych przejść większości z nich. Są to na ogół jaskinie niewielkie i nie przedstawiające trudności technicznych. Najdłuższa, Cueva Trinitaria, liczy ok. 1,2 km długości i jest tunelem wymytym przez okresową rzekę. Kończy się zawaliskiem, nad którym zamieszkuje kolonia nietoperzy. Najciekawszą okazała się jaskinia w Tierra Libertad. Aby dostać się do niej, pokonaliśmy wspinaczką próg wypływającego z otworu wodospadu. Dalej był ciąg wielkich 'sal i korytarzy z przepływem strumienia, jeziorami i wodospadami, zamknięty syfonem. W jaskini Laguna odkryliśmy we wstępnej gigantycznej komorze gliniane dzbanki z okresu przedkolumbijskiego, wrośnięte w nacieki. Obok, w naturalnej



Uczestnicy wyprawy w obozie Montebello. Stoją od lewej: W. Skarżyński, R. Gradziński, M. Kuczyński, K. Kowalski i B. Koisar.
Fot. Wojciech Skarżyński

wnęce ozdobione stalaktytami, spoczywał szkielec ludzki równie dawnej daty. Zapewne były to ofiary dla boga podziemi i deszczu, Tlaloka.

W trakcie penetracji sporządziliśmy plany jaskiń oraz szkice sytuacyjne terenu, nanosząc też na mapę położenie otworów. Obserwacje przeprowadzone przez geologów Gradzińskiego i Koisara pozwoliły stwierdzić krasowy charakter jezior Montebello.

Nad święte jezioro Miramar

8 marca samochód INI przywiózł oczekiwane wizy. Następnego ranka zwinęliśmy obóz, zostawiając większość sprzętu w domu strażnika, i ruszyliśmy w 130-kilometrowy marsz do jeziora Miramar. Muły niosły żywność, dach namiotowy, aptekę, amunicję, baterie i sprzęt jaskiniowy. Z wysokości 1400 m schodziliśmy do poziomu 500–300 m n.p.m., zagłębiając się w krainę mgły, mżawki i błota. Drugiego dnia poganiacz odmówił dalszego marszu wobec trudności terenu i został odprawiony. Wynajęty Metys Artemio Solis z trzema mułami pozostał z nami już do końca. Porządek dnia był następujący:

Pobudka o 5.30. Pakowanie śpiworów, materaców, gotowanie i jedzenie śniadania, chwytanie i juczenie mułów. Około 8 następowaliśmy marsz. Posuwaliśmy się ścieżkami w puszczy łączącymi osady. Ścisłe trzymanie się kierunku było niemożliwością, szlak kłuczył, czasami zawracał. Bywały dni, kiedy

po 25 kilometrach marszu przybliżaliśmy się do celu — jeziora Miramar — zaledwie o 5 km. Tam, gdzie trzeba było przebiegać nowy szlak, dwaj przewodnicy z maczetami posuwali się z szybkością od 500 m do 1 km na godzinę. Ładunki na mułach wymagały wycinania w gąszczu szerokiej drogi, aby zwierzęta nie były chwyte między sprężyste drzewka. Szlak niemal nieustannie prowadził stromo pod górę lub w dół, przekraczając niezliczone pasma zbudowane z wapieni lub łupków. Godzinami trwało przeprowadzanie mułów więzających kopytami w szczelinach krasowych lub grzęznących w bagnie. Tutaj zrozumieliśmy, dlaczego informowano nas o niedostępności drogi. Przebycie jej konno lub na mule jest trudne, w dodatku nad ścieżką zwisają zbyt nisko dla jeźdźcy girlandy lian. Iść więc trzeba piechotą i z niemałym trudem, którego unika w tym kraju kto może i którego nam chcieliśmy zaoszczędzić. W każdym razie owa „niedostępność” okazała się, jak to bywa często, dość względną.

Pomiędzy 12 a 14 urządzaliśmy zwykłe postój nad potokiem, przeznaczony na spożycie lekkiego psilku, po czym następował dalszy marsz. Wielokrotnie przeprawialiśmy się przez rzeki, przechodząc je w bród w wodzie sięgającej do pasa lub piersi, najczęściej w butach i ubraniach dla ochrony przez zwalami konarów w wodzie i kamieniami na dnie. Temperatura wody wynosiła ok. 27 stopni, powietrza powyżej 30 stopni. Do brzegu Rio

Dolores doprowadził nas przewodnik wycinając korytarz w zbitym gąszczu i z nieomylnym wyczuciem trafiając na jedyne miejsce, gdzie można było dokonać przeprawy. Szybko płynąca woda była nieprzejrzysta, jaskrawo zielona. Z lewej głębia, z prawej bystrza i wodospady. Przeszliśmy wzdłuż progu podwodnego, gdzie woda sięgała zaledwie do bioder, za to pędziła z niezwykłą szybkością. Asekurowaliśmy się rozpiąwszy pomiędzy brzegami linę. Wory były przenoszone na plecach, my przeszliśmy bez ładunku.

Przed zapadnięciem zmroku, co następowało około godziny 19, staraliśmy się dotrzeć do osady na nocleg. Było to o wiele dogodniejsze od rozbijania obozu w splątanej, prześikniętej wodą i bagnistej puszczy, pełnej komarów. Wbrew temu, o czym nas uprzedzano, napotykalismy kolonie ludzkie, położone zazwyczaj wysoko na zboczu lub grzbietach pagórków, niektóre założone już przed półwieczem, inne w ostatnich latach. Nasze pojawienie się było zdarzeniem niezwykłym, odstępowano nam okazałą chatę służącą wsi jako kaplica. Obiad połączony z kolacją gotowaliśmy w najbliższej chacie z własnych produktów, na ogniu palącym się pośrodku kłepiska. Zakupywaliśmy jedynie banany oraz placki kukurydziane — tortille, czasem ananasy lub pomarańcze. Podczas przygotowań do noclegu zbierała się zwykle gromada wieśniaków i wówczas przeprowadzaliśmy wywiad, sporządzając z łatwością pełną listę jaskiń znanych w otoczeniu wsi. W licznej asyście udawaliśmy się na ich zbadanie. Gromada pozostawała na granicy dziennego światła lub pod pierwszym progiem wymagającym wspinaczki. Tam, gdzie wstępu pod ziemię broniła woda, nasi przewodnicy w milczeniu pełnym grozy patrzyli jak zanurzamy się w czarnym jeziorze aby tylko z głową na powierzchni przecisnąć się pod niskim stropem i zniknąć im z oczu na wiele godzin. Długość większości jaskiń nie przekraczała kilkuset metrów. Wykonywaliśmy ich plany oraz liczne zdjęcia, zbieraliśmy też okazy fauny, jak np. olbrzymie włochate pajaki oraz nietoperze chwytywane w sieć nylonową. Były to wampiry, żywiące się krwią zwierząt, najczęściej domowych, zlizywaną z nacięć zrobionych na skórze, lub inne, owado- lub owocożerne, a także wypijające nektar kwiatów, podobnie jak to czynią kolibry.

18 marca dotarliśmy do celu marszu, świętego jeziora Lakandonów, Miramar. W pobliżu (7 km) były dwie nowe kolonie Indian Chamula, nie spotkalismy natomiast nawet śladu Lakandonów, czystej krwi potomków plemion majowskich, których jest już tylko około 200. Oparli się oni próbom ucywilizowania, ale wypierani przez osadników ustępują w głąb selwy.

Jezioro Miramar ma średnicę około 10 km i kształt zbliżony do kwadratu. Leżą na nim

wysepki z ruinami budowli Majów, a przy brzegu zachodnim uwagę zwraca niezwykła bariera raf zbudowana z błękitnych alg. Jezioro otaczają strome pagóry utworzone z wapieni. Obserwacje poczynione przez nas w okolicy jeziora zmieniają panujące dotychczas w nauce błędne poglądy na charakter występujących tu zjawisk krasowych. Według dotychczasowych opinii, jezioro miał otaczać kras typu mogotowego. Mogoty są to izolowane kopy wapienne o pionowych ścianach, oddzielone głębokimi wąwozami, stojące na wspólnej płaszczyźnie i poprzecinane u podstaw płynącymi potokami. Posiadają też pozostałości dawnych przepływów w postaci tuneli jaskiniowych, leżących piętami jeden nad drugim. Tereny mogotowe (np. eksplorowane przez naszą wyprawę na Kuby w latach 1961 i 1962) obfitują w jaskinie o wielkiej długości i stanowią wspaniałe rejonu dla działalności sportowej. Obszary rozciągnięte pomiędzy pojezierzem Montebello a jeziorem Miramar oraz w otoczeniu tego ostatniego przedstawiają typ całkowicie odmienny. Są zbudowane z wapieni tworzących długie grzbiety i pasma, porożcinane szerokimi dolinami rzek i potoków. Brak tu niemal pionowych ścian, skały występują rzadko, zbocza i grzbiety pokrywa gruba warstwa zwietrzliny, która maskuje otwory jaskiń. Tak więc, dostęp do starych, suchych systemów jaskiniowych jest odcięty, zaś niezbyt liczne żywe przepływy dostępne są na niewielkich tylko odcinkach — z powodu świeżych zawałisk, bądź syfonów istniejących na poziomie wodnym.

Dokonaliśmy na tych terenach — łącznie z parkiem Montebello — przejścia 23 jaskiń, a działalność nasza miała charakter i wartość pierwszej w ogóle eksploracji, której ciąg dalszy pochłonie jeszcze dziesiątki lat pracy licznych wypraw, z wielu zapewne krajów. Dokonane obserwacje speleologiczne będą przedmiotem osobnych publikacji, zaś plany i opisy jaskiń uzupełnią kompletowany przez GEM katalog jaskiń Meksyku.

Sześć dni zajęła droga powrotna. Deszcze ustąpiły miejsca upałom, błoto wysychało. Posuwaliśmy się tym samym szlakiem, pokonując do 35 km dziennie.

Podróż do Oaxaca

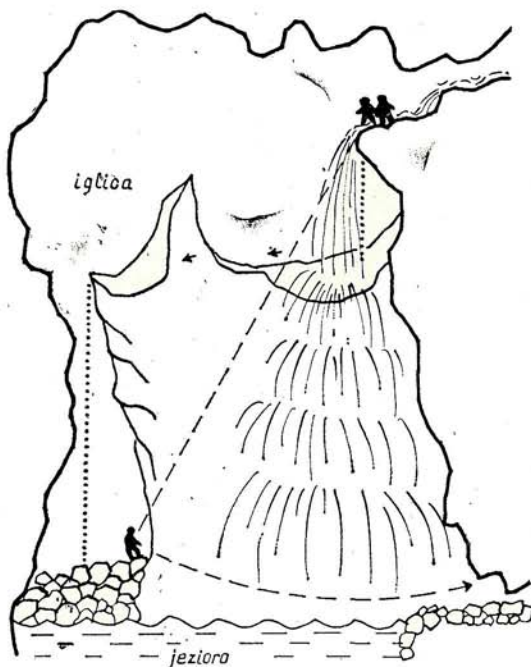
26 marca z obozu w Montebello zabrał nas samochód INI. Trzy dni spędziliśmy w San Cristobal szykując dalszą podróż. Oczekiwał nas tu list od GEM, zawiadamiający o zmianach we wspólnym planie. Jak się okazało, w wyprawie do Oaxaca miał wziąć udział tylko jeden członek GEM — liczniejszej grupy nie zdołano skompletować. Stały się temu na przeszkodzie trudności finansowe, a tak-

że fakt, że Meksykanie ciągle jeszcze nie mogli się otrząsnąć z wrażenia po tragicznym wypadku samochodowym. Wykluczało to podjęcie akcji o najwyższej skali trudności. Zdając sobie sprawę, że szanse zdobycia ponad 600-metrowej Sotano de San Augustin w naszym szczupłym zespole spadają do zera, postanowiliśmy mimo wszystko podjąć atak. Jaskinia warta jest każdej próby; jest najgłębszą ze znanych w Ameryce, dwukrotnie odparła ataki Amerykanów, a każde do niej wejście stanowi wkład w dzieło zdobycia.

28 marca, jeszcze w San Cristobal, dokonaliśmy wypadu jeepem do otworów trzech jaskiń w okolicy Tenejapa. Do leja krasowego tuż obok tej wsi wpadają dwa potoki. Zjechaliśmy obok wstęgi walącej w dół wody, dalej nastąpiły zjazdy już w jaskini wzdłuż kolejnych, olbrzymich wodospadów. Lodowata woda górskich strumieni zmusiła nas do odwrotu. W sąsiedztwie przeszliśmy dwie mniejsze, suche jaskinie.

Całą noc trwała podróż autokarem do Huajapan de Leon, gdzie przesiedliśmy się na przygodnie wynajętą ciężarówkę, która przez wspaniałą górską pustynię kaktusową dowiozła nas do miasta Tehuacan. Tu spotkaliśmy naszego towarzysza — Henrique Assemat. Dwaj inni członkowie GEM jeepem przywieźli ekwipunek potrzebny do dalszej akcji i natychmiast powrócili do stolicy. Teżoż wieczora dotarliśmy autobusem do miasteczka Teotitlan, a następnie linią specjalną o 4 nad ranem wyruszyliśmy w Sierra Mazateca. Serpentykami wyciętymi w skalnych ścianach autobus wspinał się 6 godzin w nieustannej ekspozycji na wysokość przeszło 1500 m n.p.m. Towarzyszyła nam grupa *hippies* z Meksyku i USA, jadących w góry, aby od Mazateków kupować grzybki halucynogenne, które po spożyciu na surowo wywołują stan snu narkotycznego pełnego barwnych majaceń. W ulewnym deszczu wysiedliśmy na rynku w Huautla — wysokogórskim miasteczku, gdzie strażnicy municypalni zgarnęli nas razem z gromadą *hippies* do biura starosty — Indianina. Miejscowe władze bronią się przed inwazją zwariowanych przybyszów, wiele więc trudu kosztowało nas wytłumaczenie im, że nie przybyliśmy tu na grzybki ani marihuanę. Trzeba też było wydobyć wszystkie listy polecające i dokumenty, zanim *jefe* zezwolił na wejście do jaskini. W ośrodku INI otrzymaliśmy samochód, który przewiózł sprzęt w pobliże otworu jaskini (8 km).

Sierra Mazateca przypomina do złudzenia Tatry Zachodnie, ale bez skał. Potężnymi skłonami biegają wąskie ścieżki, na graniach siedzą chaty, a zbocza, nawet te o nachyleniu 50°, są obsadzone kukurydzą. Na dnie zamkniętych lejąwatych dolin czernieją otwory studni.



Sotano de San Augustin. Pokonywanie zjazdami i wahadłem wodospadu na głębokości 215 m.

Rys. Maciej Kuczyński

W wiosce San Augustin rozbiliśmy namioty wewnątrz kamiennych murów niedokończonej chaty. W tej okolicy nie było skrawka nieuprawionej ziemi. Stąd, przez pola kiełkującej właśnie kukurydzy schodziliśmy 300 m do leja z otworem jaskini. Mazatecy, nie rozumiejący ani słowa po hiszpańsku, przyjęli nas nieprzyjaźnie. Natarczywie i beczelnie domagali się prezentów, równocześnie wyśmiewając się z nas, a także ciskając bryłami ziemi w dzwigających ładunki. W atmosferze obłędzenia rozpoczęliśmy zejście do jaskini.

W najgłębszej jaskini Ameryki

Była to trzecia w ogóle próba atakowania Sotano de San Augustin. W r. 1967 bawiła tu liczna wyprawa Association for Mexican Caves Studies z Teksasu. Przebyła ona leżącą w sąsiedniej dolinie Sotano del Rio Iglesia (—532 m) oraz osiągnęła głębokość około 580 m w San Augustin. W grudniu 1969 r., a więc 3 miesiące przed nami, Amerykanie z udziałem Kanadyjczyków i Anglików dotarli w 30-osobowym składzie do poziomu —620 m, znajdując tam długi korytarz — szczelinę z kilkoma studniami o głębokości co najmniej 20 m, których nie zdołali już pokonać. Nie opublikowali planu jaskini ani szczegółowego opisu, przez co nasze zejście

miało charakter niewiele odbiegający od pierwszej eksploracji.

W dniu 2 kwietnia na powierzchni pozostał Skarżyński, aby pilnować obozu i lin zawieszonych we wstępnej studni — podczas wyprawy amerykańskiej przecięli je złośliwie Indianie. Nasza czteroosobowa grupa oraz H. Assemat rozpoczęła zjazd i transport 10 worków ze sprzętem. To pierwsze zejście bez nocowania miało nas zapoznać z charakterem jaskini.

0 do — 100 m. Lej prowadzący z powierzchni ma średnicę ok. 50 m i głębokość 75 m, ale 10 m poniżej górnej jego krawędzi przebiega wąski korytarzyk, którym można dotrzeć na balkon zawieszony 65 m ponad dnem. Zjazd odbywał się stąd wzdłuż ściany porośniętej krzakami i korzeniami, podtrzymującymi zwały luźnych kamieni i błota. Ładowaliśmy obok okrągłego jeziora, worki opuszczając kolejką linową. Następowaliśmy stąd zejście pod okap jaskini pod spadającą z niego siklawą, skalnym łóżyskiem potoku wypływającego z jeziora, pośród pni i glazów opadłych z góry, a dalej zjazd z haka nachylonym pod kątem 45° łóżyskiem potoku, po dachówkowato urzeźbionej skale. Tutaj założyliśmy drugi odcinek kolejki linowej.

— 100 do — 137 m. Kolejny etap rozpoczyna olbrzymi korytarz o szerokości ok. 30 m, wysokości 50 m i długości ok. 110 m, opadający niewielkimi progami, zasłany rumowiskiem glazów i pni do niedostępnego komina, a droga prowadzi przez boczną suchą komórkę. Na głębokości 115 m następuje zjazd 12 m pionowym kominem, po czym dalszy zjazd po nachylonych płytach na dno klinującej się szczeliny — na suchy balkon nad wypływającą z boku kaskadą. Na stanowisku asekuracyjnym pozostał tu R. Gradziński, pozostali rozstawili się łańcuchem w dół, aby przesyłać worki odcinkami na linie.

— 137 do — 167 m. Odcinek ten stanowi system rozwiniętych na jednej szczelinie skośnych progów i wiszących jeziorok połączonych wodospadami. Zjeżdżaliśmy niemal cały czas w kontakcie z wodą, ładując co kilka metrów na brzytwowatych krawędziach mis wypełnionych wodą. Dla uniknięcia ładowania w głębokich jeziorokach konieczne były wahadła. Z trudem znajdowaliśmy wneki do składania worków poza zasięgiem wody. Na poziomie —167 m woda wpada do niezwykle wąskiej, skośnej szczeliny. Koisar, który zjechał do niej dla rozpoznania drogi, niemal nurkując, wycofał się z głębokości 35 m, nie znajdując możliwości przejścia. Znalazł je w bocznej szczelinie opuszczającej ciąg wodny i prowadzącej do suchej komory. Assemat pozostał na progach wodnych — dalej ruszyli tylko 3 osoby.

— 167 do — 194 m. Dalsza droga wiedzie przez pionowe suche progi, dobrze urzeźbione. Kowalski opuszczał worki Koisarowi

stojącemu 11 m niżej, jeszcze niżej zjechał Kuczyński dostając się pod tryskającą ze stropu kaskadę, przeszedł pod nią i wtrawersował w ścianę okrągłej komory na odpychającą półkę, gdzie założył wolny zjazd (7 m) i na dnie odebrał przesłane worki. Następnie rozpoznał dalszą drogę prowadzącą poziomym korytarzem. W okrągłej komorze liczącej ok. 12 m średnicy pozostawiono worki i rozpoczęto odwrót. — Po 19 godzinach nieprzerwanej akcji wszyscy znaleźli się na powierzchni, pokonując pionowe odcinki po drabinie wciąganej przez wspinającego się na jumarach Koisara. Następne dwa dni poświęcono na odpoczynek i dokonanie zakupów świeżej żywności w Huautla. H. Assemat, nie posiadający dostatecznego wyszkolenia, wycofał się z dalszej akcji i ze składu wyprawy.

W dniu 5 kwietnia podjęliśmy dalszą akcję, na straży obozu pozostawiając ponownie Skarżyńskiego. Czas alarmowy ustaliliśmy na 6 dni, zdając sobie jednak sprawę, że zorganizowanie akcji ratunkowej i ściąganie posiłków z Meksyku musiałoby zająć co najmniej 3—4 dni. Niosąc ze sobą 5 dodatkowych worków ze śpiworami i suchą bielizną, dotarliśmy w ciągu trzech godzin do składu założonego na głębokości 194 m.

— 194 do — 203,5 m. Pokonaliśmy tę różnicę poziomów podając sobie worki poprzez wodne zbiorniki i jeziora w krętym korytarzu długości ok. 100 m. Doprowadził on nad poprzeczną szczelinę, której krawędzie nosiły wyraźne ślady lin i podeszew butów amerykańskich. Na jej dno zjechał ok. 15 m Koisar ładując po drodze na moście z zaklinowanych glazów. Równocześnie Kowalski opuszczał się do szczeliny na drugim jej końcu. Przeszukiwanie licznych odnog zalaných jeziorokami pozwoliło jedynie stwierdzić, że droga jest zamknięta i należy jej szukać gdzieś indziej. Straciwszy kilka godzin wycofaliśmy się do rozwidlenia korytarza (50 m). Wąski tunel z płynącą wodą, początkowo zmuszający do czołgania się, doprowadzał po 200 m do studni. Z progu wodospadu zjechał Kuczyński ładując po 5 m na wznoszącej się w środku komory ostroźce skalnej, gładkiej, wymytej jak marmur i pozbawionej najmniejszych chwytów. Trawersując po jej grzbiecie wyszedł z zasięgu wodospadu i zjechał dalsze 10 m, zawisając nad lustrem jeziora. Stąd wykonał 15-metrowe wahadło wzdłuż ściany, przelatując znów pod wodospadem i osiągnął groble kamienną z wpływem potoku. Następnie przebył ok. 100 m bardzo niskiego korytarza miejscami czołgając się w potoku, który doprowadził do wyższych partii z jeziorokami sięgającymi do kolan. Po 150 m trafił na obszerną komorę. Potok wpadał do kominów, a w wnece skalnej stało 30 pojemników plastikowych z żywnością i paliwem, pozostawionych przez Amerykanów. Nie

ulegało wątpliwości, że jest to właściwa droga, jednak pokonanie jej z bagażem, a zwłaszcza wahadło i obniżenia stropu zmuszające do wleczenia worów w potoku, przedstawiały tak poważne trudności transportowe, iż zdecydowaliśmy się na szukanie innej drogi. Niebawem też Kowalski znalazł odgałęzienie wiodące do suchego, 16-metrowego komina. Wobec tego, że akcja przeciągnęła się nadmiernie, postanowiliśmy tu założyć biwak. Wyrównaliśmy piaszczyste nasypy we wnękach korytarza, układając na nich płachty biwakowe i śpiwory z waty syntetycznej. Posiłki przyrządziliśmy gotując na prymusie benzynowym.

— 205 do — 235 m. Następnego dnia (6 kwietnia) po śniadaniu i zwinieniu biwaku Koisar zjechał do 16-metrowego komina i stwierdził, że łączy się on z ciągiem wodnym. Wówczas Kuczyński posuwając się dalej poprzez progi z kaskadami dotarł do odnalezionej poprzedniego dnia bazy amerykańskiej. W ten sposób odkryto nowy wariant drogi omijający niezwykle uciążliwy odcinek wodny. Brak jakichkolwiek śladów na piasku wskazywał, że droga ta nie była znana naszym poprzednikom. Wory opuściliśmy z progu kolejną linową, dalej były one przeciągane po 1-metrowych stopniach, a wreszcie przelazami i piaszczystym syfonem do okrągłej sali. U jej końca dno obrywało się 7-metrowym progiem nad korytarzem wodnym. Tu założyliśmy kolejną linową, która pokonywała znaczny odcinek wodnego ciągu ponad łańcuchem kaskad i misowatych jezior. Dalej przenosiliśmy wory krętym korytarzem, brnąc po kolana w wodzie i osiągnęliśmy po 60 metrach dużą salę o wielkiej wysokości, tzw. „biwak amerykański”. Po obiedzie rozpoczęliśmy dalszy pochód. Potok wpadał tu do niedostępnych szczelin. Należało go więc opuścić i wspiąć się 2 m na próg, z którego krótki korytarzyk wyprowadzał na balkon nad potężną szczeliną.

— 233 do — 264 m. Suchą pionową szczeliną zjechał Koisar 25 m w wolnym zjeździe, zawisając nad lustrem wody, wykonał wahadło (7 m) i wylądował na skalnej grobli będącej zarazem progiem wodospadu. Stąd nastąpił dalszy zjazd po linie zrzucanej z progu wodospadu (6 m) — już cały czas w strugach wody — do jeziora wypełniającego dno szczeliny, a po bardzo trudnym wahadle-trawersie wzdłuż niej (ok. 10 m w poziomie) — lądowanie na progu kolejnego wodospadu. Od tego miejsca szczelina rozszerza się gwałtownie. Aby uciec spod strug wody należy wytrawersować po lewej ścianie, dobrze urzeźbionymi półeczkami, ok. 5 m na balkon nakryty okapem. Po skomplikowanej i długotrwałej akcji dostarczyliśmy tu 10 worów z linami i żywnością, zabezpieczając je przed wodą.

— 264 do — 303 m. Koisar zjechał z balkonu 18 m, po czym wykonał bardzo trudne wahadło (8 m w poziomie) wzdłuż odpychającej wybrzuszonyj ściany i dotarł na półkę — 282 m, znajdując na niej amerykański nit do zjazdu. Wobec późniejszej pory i braku miejsca na biwak, cała grupa — całkowicie przemoczona — wycofała się do sali „biwaku amerykańskiego”, aby tam spędzić noc. 7 kwietnia Koisar, Kowalski i Kuczyński zjechali na balkon — 264 m, skąd Koisar dotarł następnie do półki — 282 m i zawiesił na nicie linę zjazdową. Stąd zjechał dalsze 21 m, wykonując na ostatnim odcinku wahadło dla uniknięcia wodospadu. Wylądował na dnie szczeliny zalanym przez dwa jeziora. Po jej obszukaniu stwierdził, że jedyna droga prowadzi pod wodospadem do niskiego otworu, całkowicie przesłoniętego wodą. Wobec upływu trzech dni akcji i wobec tego, że trudności wzrastały z każdym metrem pochodu w głąb, uznano, iż akcję należy przerwać, gdyż nie rokuje ona nadziei dotarcia o wiele niżej. Na decyzję wpłynęły też względy bezpieczeństwa — niemożliwość prowadzenia ewentualnej akcji ratunkowej w tak szczupłym zespole. Z balkonu na poziomie — 264 m sprzęt został wycofany do biwaku — 235 m, gdzie spędzono noc. 8 kwietnia przez cały dzień trwał transport powrotny do poziomu — 115 m, gdzie noc spędziliśmy w okrągłej salce zasypanej piaskiem. Dzień 9 kwietnia wypełnił transport worów kolejną linową na powierzchnię oraz wychodzenie uczestników zestępnej studni.

Powrót do kraju

12 kwietnia, po odpoczynku i spakowaniu sprzętu, cała grupa powróciła do Meksyku. Otrzymaliśmy tu wiadomość, że M/S „Krynica” odpływa 18 kwietnia z Nowego Orleanu, następny zaś rejs może nastąpić za 2 miesiące. Zdecydowaliśmy się na natychmiastowy wyjazd. Zarząd GEM wydał pożegnalne przyjęcie, w ambasadzie PRL odbyła się też konferencja prasowa. Autobusem udaliśmy się do Nowego Orleanu, skąd statek odpływał dopiero 28 kwietnia. Po długiej podróży morskiej przybył do Rygi. Stąd uczestnicy wyprawy wyjechali pociągiem i 21 maja znaleźli się w Warszawie, gdzie nastąpiło rozwiązanie wyprawy — pierwszej od 33 lat wyprawy Klubu Wysokogórskiego na kontynent amerykański.

Ten ostatni fakt warto podkreślić, gdyż nadaje on nowy wymiar całemu przedsięwzięciu. W latach przedwojennych Polacy rozpoczęli eksplorację gór Ameryki Południowej, sięgając od razu po najwyższe zdobycze, które do dziś nie straciły swej wartości i zawsze będą zapisane w kronikach alpinizmu, mimo, iż nie znalazły bezpośredniej polskiej kontynuacji. Po wojnie powstała w Polsce nowa

gałąź sportu górskiego — taternictwo jaskiniowe. I właśnie ono zrealizowało powrót naszego alpinizmu za Atlantykę, w góry Ameryki Łacińskiej, nawiązując do dawnych osiągnięć eksploracyjnych.

Dwie wyprawy, na Kubę w latach 1961—1962 i do Meksyku w r. 1969 są już, być może, początkiem czegoś, co za kilka lat nazwiemy tradycją — tradycją wypraw KW do jaskiń amerykańskich. I mniej ważne jest to, że nie osiągnięto dna Sotano de San Augustin, ważniejsze jest, że byliśmy obecni od pierwszej chwili walki o „dno Ameryki”. Więcej, daliśmy tej walce początek. Zdobyte przez naszą wyprawę Cueva Jivara (—341 m) na Kubie, było pierwszym, istotnie liczącym się rekordem. Potem przeszedł on w ręce Meksykanów, w Boca del Diablo w Meksyku (—460 m), wreszcie został pobity w Sotano de San Augustin. Jaskinia ta odparła dwa ataki teksasczyków i nikt inny, nawet gospodarze terenu, nie zdążyli jej zaatakować, gdy już na miejscu pojawili się Polacy. Wprawdzie nie osiągnęli dna, ale odkryli nową do niego drogę.

Zresztą nie wszystko kończy się na jaskini w San Augustin. W Meksyku istnieją warunki geologiczne pozwalające myśleć i o rekordzie świata. W stanie Guerrero (Boca del Diablo) potężne masywy wapienne podziurawione są otworami studzien jak sito, a wchła-

niane przez nie wody wypływają o 1500 — 1700 m niżej. To samo wiadomo o wielu innych rejonach. Są to cele sportowe najwyższej wartości.

Co do osiągnięć eksploracyjnych wyprawy, są one bezsporne. „El Dia”, wielki dziennik meksykański, napisał w jednej z relacji o przebiegu wyprawy: „Grupa badaczy z Polski dokonała pierwszych w dziejach badań speleologicznych Meksyku ważnych odkryć i znalezisk w rejonie Montebello i Selva Lacandona”. Tak więc, wyprawie KW przypada pierwszeństwo w eksploracji jaskiń tych terenów i wszystko, cokolwiek będzie tam zrobione w przyszłości, będzie kontynuacją naszych pionierskich działań. Ma to zresztą znaczenie szersze, niż tylko dla speleologii, bowiem wspomniane rejonory należą do najsłabiej poznanych części Meksyku i materiały zebrane przez nas dostarczają nowych faktów dla geograficznego opisu tego kraju w ogóle.

A zatem, drogi zostały przetarte, warunki meksykańskie rozpoznane, stosunki z alpinistami i speleologami Meksyku są nadzwyczaj bliskie, a opinie władz i instytucji o polskiej działalności — jak najprzychylniejsze. Wszystko to razem wskazuje niezwykle wartościowe i obiecujące cele dla kolejnej wyprawy Klubu Wysokogórskiego, która winna być zorganizowana w zimie 1970—1971 roku.

Dalszy ciąg ze s. 101

znaczeniu wczasowicz, letnik — lebnia nora świstacza itp.).

Zanim jednak pojawił się wyraz „taternik”, również na tatrzańskim gruncie używany był zapożyczony z języka francuskiego wyraz „turysta”. J. Stolarczyk notuje w swej „Kronice”, że przed nim na Lodowym nie stanął żaden „Tourista” (1867), B. Rejchman spotyka się w Szmeksie z Eljaszem i Pawlikowskimi — „pierwszorzędnymi turystami polskimi” (1879), K. Chłędowski (1875) czy W. Koziebrodzki (1876) również wędrowców alpejskich nazywają „turystami”.

Około roku 1900 — tym razem zapewne pod wpływem literatury austriackiej — zdegradowany „turysta” przeżył w piśmiennictwie taternickim renesans, zagroził nawet przejściowo rodzimemu wyrazowi „taternik”. J. Chmielowski w swych różnych pismach wyrazów „turysta” i „taternik” używał wymiennie, wyraźnie nawet faworyzując „turystę”. On też i jemu współcześni sprawili, że *par excellence* taternicka ewidencja wejść w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego” (1902—04) otrzymała tytuł „Kroniki turystycznej”, a protoplasta naszego Klubu Wysokogórskiego — nazwę „Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego”^{*)}. W kilka lat

później zaczęto lansować spolszczenie austriackiego terminu „Hochtourist”, „hochtourist” w formie „wysoko-turystyczny”, a do autorów, którzy tego niezręcznego neologizmu używali należeli m. in. R. Kordys i M. Świerż. Na szczęście jednak już ok. 1910 r. zakresy naznaczeniowe „turysty” i „taternika” znowu się rozeszły, czego dowodem jest choćby tytuł naszego czasopisma, a także podrecznika Z. Klemensiewicza „Zasady taternictwa” (1913), gdzie też wyraz „taternik” został poprawnie zdefiniowany i autorytatywnie odniesiony do wyrazu „alpinista”.

Na zakończenie ciekawostka. Otóż w r. 1933 dwutygodnik „Wiadomości Turystyczne” rozpiął konkurs na nazwę turysty górskiego i turystyki górskiej, wychodząc z założenia, iż słowa „taternik” i „alpinista” „nie odzwierciedlają należycie danego pojęcia”. Konkurs nie dał widać zadowolających wyników, skoro w dalszych zeszytach pisma o nim głucho. Załować doprawdy nie ma czego...

^{*)} Na tym tle jasno widać, że nazwa ST TT wcale nie była kompromisem pomiędzy turystami i taternikami w łonie Sekcji, ani też — tym bardziej — anachronizmem, jak to określili w „Taterniku” z lat 1935—36 J. A. Szczepański, lecz jedynie konsekwencją niestabilizowania terminologii i dowodem chwiejności w tym względzie u „ojców chrzestnych” poprzedniczki naszego Klubu.

Skalne drogi w Tatrach

Raptawicka Turnia

Pn.-wsch. kominem. I wejście Robin Prager i Andrzej Kuś, 9 IX 1965. II wejście A. Gocman, J. Łabęcki i R. Malczyk, 1 XI 1968. Trudności V, miejsce VI, 2 i pół godz.

Wąska pn.-wsch. ściana Raptawickiej Turni ma ok. 120 m wysokości i spada do dużego kotła. Ścianę przecina komin, który w dole przechodzi w krusze zaciecie. Podejście jak do Jaskini Raptawickiej i jeszcze kilka metrów w górę do kotła pod ścianą. Z lewej strony kotła podwójnym zacięciem 15 m w górę (V) i do początku kominu (II–III), skąd kilka metrów w górę do wygodnej nędzy pod ogromną przewieszką (IV). Kominem wprost przez przewieszkę (VI) do łatwiejszej części. Dalej w górę przez liczne zwężenia jeszcze 2 wyciągi (częściowo V) na grań. (Ocena trudności i czasu — według II przejścia).

J. Łabęcki i R. Malczyk

Zadnia Garajowa Turnia

I wejście wzdłuż ostrza pn.-wsch. filara (z Doliny Hlińskiej), w górnej części ok. 250 m drogą WHP 708: Stanisław Jaworski, Wojciech Jedliński i Kazimierz-Jacek Rusiecki, 28–29 IV 1969.

W ścianę weszliśmy o godz. 11. Pogoda była słoneczna, jednak wspinaczkę utrudniał ciężki niezwiązany śnieg oraz mokry lód. Szliśmy ok. 100 m na lewo od drogi WHP 708, w pobliżu ostrza filara (kilka miejsc IV). Biwak założyliśmy w nawisie śnieżnym na eksponowanej grani. Następnego dnia dokończyliśmy przejście wariantami C i D drogi WHP 708. Wierzchołek osiągnęliśmy o godz. 14, po 16 godzinach efektywnego wspinania. Droga pokonuje ok. 800 m różnicy poziomów, a pod względem klasy może być porównywana z pn.-wsch. grzędą Miękusowieckiego Szczytu.

W. Jedliński i K. J. Rusiecki

Mała Wołowa Szczerbina

I wejście (AC) przez próg Wyżniego Kotła Czarnostawiańskiego: Jan Łącki i Jacek Rochacki,

20 VIII 1965. Droga trudna, godna polecenia na zimę; pod względem długości i trudności podobna do sąsiedniej drogi filarem Wołowego Grzbietu. 3 1/2 godz. I wejście zimowe (BD): Halina Krüger i Jan Łącki, 11 IV 1969, 6 godzin.

Droga prowadzi charakterystyczną załupą biegnącą równolegle do filara Wołowego Grzbietu, po jego prawej (pn.-zach.) stronie. Jej przedłużenie stanowi trawista rynną zbliżającą lewy skraj progu Wyżniego Kotła Czarnostawiańskiego. Początek drogi znajduje się u wylotu tej rynniny do żlebu spadającego z Kotła pod Rysami. Rynną w górę na próg Kotła (I, 1/2 godz.). Stąd:

A. Albo z odchyleniem w lewo pod skały do początku załupy i przez jej pierwszy uskoki na ograniczającą ją z prawej strony grzędę (II). Grzędą lub samą załupą kilka wyciągów do małego kociołka pod uskokiem (II).

B. Albo dnem kotła w pobliżu stromych skał jeszcze dość długo w górę, po czym w lewo stromymi połami śnieżnymi (piętami?) do kociołka pod uskokiem załupy. (Wariant zimą praktyczny).

Z kociołka:

C. Albo (VII) w lewo na skały i w górę przez wielkie bloki, po czym z odchyleniem w prawo na strome, poprzecinane uskoki i pokryte blokami zbocze, w jakie w górnej części rozplaszczają się filary Wołowego Grzbietu. Zboczem tym (miejscami II) łącząc się pod koniec z drogą 957 (Zachodem Gronskiego) na Małą Wołową Szczerbinę.

D. Albo (trudniej) z lewego górnego końca kociołka kruchą rynną w górę i pod przewieszkami w lewo na wystający diób niższej przewieszki, stąd do nowej rynniny i z niej w lewo na zbocze, którym już łatwiej do drogi 957 WHP.

J. Łącki

Żabi Szczyt Niżni

I wejście prawym żebrem pd.-zach. ściany: Jan Łącki i Jarosław Uszyński, 2 IX 1964. Droga o pięknej skale — nadzwyczaj trudna (V+) i efektowna, 2 godz.

Droga wiedzie litym żebrem skalnym rozdzielającym komin, którymi prowadzą drogi WHP 1168 i 1169. W górnej części żebra widoczna jest z dołu nęży pod okapem trójkątnej przewieszki. Droga prowadzi ściśle krawędzią żebra przez ową przewieszkę.

Wejście w ścianę z lewej strony piętowej ostrogi żebra znacznie poniżej początku drogi WHP 1166. Płytkami w lewo w górę na krawędź żebra i przez uskoki na siodło u stóp górnego spietzenia (IV→). (Do tego miejsca można dojść łatwiej od prawej strony drogą 1168). Z siodła pionową rysą do nędzy pod przewieszką. Z lewej strony przez okap (V+), korzystając z dobrych chwytów tuż powyżej jego krawędzi, i dalej z odchyleniem w prawo, po czym wprost w górę coraz łatwiej na pd. grań i nią na wierzchołek.

J. Łącki

Żabi Szczyt Niżni

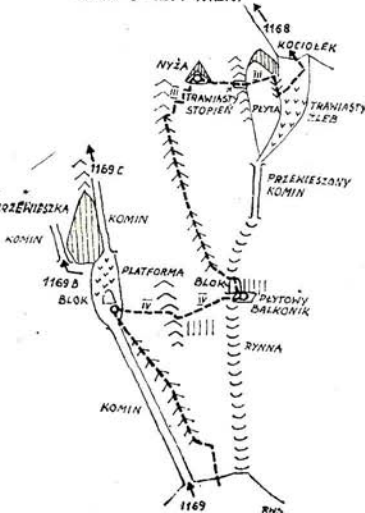
Częściowo nowa droga prawą połączyła pd.-zach. ściany: Joanna Schramm, Ryszard W. Schramm, Tomasz Schramm i Marek Sikowski, 21 VIII 1968. Droga eksponowana, urozmaicona i zajmująca. Skała lita, piękna sceneria. Trudności IV, 1 1/2 godz.

W lewej zatoce (opisanej na wstępie drogi WHP 1167) zbiegają

Żabi Szczyt Niżni — droga R. W. Schramma i towarzyszy.

Rys. Ryszard W. Schramm

ZABI SZCZYT NIŻNI



się dwa kominy. Lewym, wybitniejszym, biegnącym w kierunku szczytu, prowadzi droga WHP 1169. Prawy zbiega z kociołka w górnej części drogi WHP 1168; w dół ma charakter płytkiej rynny.

Wejście z zatoki w połowie odległości między ujściami obu kominów. Ścianka kilka m. w górę, a następnie w lewo na żebro i nim na wygodną platformę w lewym kominie (od wejścia 25 m, II). (Do tego miejsca można też dojść drogą 1169 A.)

Poniżej bloku trawers w prawo w poprzek grzdy rozdzielającej oba kominy (15 m, IV) i przekroczywszy rynnę prawego komina, na płytowy balkonik pod przewieszkaną tuż za nią. Z balkonika na blok w dnie rynny. Z bloku w lewo przez rynnę i dalej w skos na żebro. Nim w górę (ok. 20 m, II), po czym w prawo przez pionowe stopnie do nędzy z trójkątnym płytowym dnem (trudno). Z nędzy kilka m. w prawo na trawiasty stopień na krawędzi żebra i z niego dalej w prawo w poprzek gładkiej stromej płyty, do zacięcia pod przewieszkaną (III), którym 3 m. w dół na dno trawiastego żlebu (III). Z żlebu kilka metrów w skos w prawo przez próg (łatwo) do kociołka, gdzie łączymy się z drogą WHP 1168.

R. W. Schramm

Nawiesista Turnia

I przejście direttissimi pd.-wsch. ściany: Jerzy Milewski i Tadeusz Piotrowski, 25 — 26 III 1969. Trudności VI i H2, 12 godzin. Czas I przejścia 19 godzin.

Pd.-wsch. ściana Nawiesistej Turni liczy ok. 300 m wysokości i w środkowej partii ma charakter płytowy. W dolnej części ściany widoczne jest w linii spadku wierzchołek wyraźne zacięcie, wytyczające kierunek drogi. Podejście pod ścianę drogą WHP 1113 AB do trawiastego kotła. Stąd wprost do góry poprzestawianym trawą zacięciem do miejsca, gdzie spiętrza się ono przechodząc w gładkie płyty (II). Tu trawers w lewo na półkę porośniętą kosówką. Z niej kilkanaście metrów do góry z lekkim odchyleniem w prawo pod przewieszającą się skały (IV). Tu poziomy trawers w prawo przez gładką płytę (VI) i w górę do trawiastej depresji, którą wprost do góry do piazystego kociołka.

Nad nami spiętrza się opancerzona płytami środkowa część ściany, przecięta zacięciem. Dnem zacięcia do góry (H2, V) na trawiastą połączkę i dalej, skracając lekko w lewo, do jego końca i przez ściankę na dużą porośniętą kosówką półkę (III, V). Z prawego skraju półki przewijamy się przez krawędź na płytę poprzestawianą trawkami. Kilka metrów w górę i poziomy trawers w lewo (V, H1) do krótkiego kominka, który przechodzi w stromy zachód porośnięty kosówką, kończący się wygodną półką. Stąd w prawo do linby, powyżej której zaczyna się szeroka szczelina biegnąca ukośnie do góry (IV). Idziemy do jej końca (H1, V) na następną dużą półkę, na której prawym skraju rośnie limba. Od linby w górę na płytę i przez kominiek (V z pomocą haka) na łatwiejszy teren. Następuje teraz trawers w lewo do zacięcia

z odpięniętymi płytami. Nie dochodząc do jego końca — w prawo poza krawędź na kolejną półkę (IV). Z niej kilka metrów do góry na duży pczymy zachód, którym w lewo do jego końca (II) i przez zamykającą go ściankę na platformę, porośniętą kosówką. Z górnej części platformy wprost do góry skalisto-trawiastą rynną (III) i przez lekko przewieszoną ściankę (IV) na wejście w grani tuż poniżej jej kulminacji.

T. Piotrowski

Turnia nad Polaną

I wejście prawym żłebem pn. ściany (z Doliny Rówienek): Dąbka Gellner, Andrzej Bohosiewicz, Jan Franczuk i Tadeusz Piotrowski, 7 IV 1969. Droga b. trudna, 3 godz. Czas pierwszego przejścia 5½ godz. Skała nadzwyczaj krucha.

Droga prowadzi wybitnym kominem, przecinającym prawa część ściany, tuż na prawo od podwójnego komina, którym wiedzie droga AP 66. Dnem komina wprost do góry pod gładki pionowy próg. Trawers w prawo po stromej płycie na ostrze żebra. Stąd lekkie obniżenie i trawers kilka metrów w prawo, po czym do góry kominem do szerokiej depresji. Depresja do góry i w dogodnym miejscu w dół na dno żlebu, już powyżej jego progów. Dnem komina wprost do góry na wierzchołek.

(Wspinalczkę rozpoczęliśmy o godz. 12. Dolne progi w żłebie pokryte były cienką warstwą lodu, w górnej partii leżał stromy i twardy śnieg. Drogę ukończyliśmy o godz. 17.30).

T. Piotrowski

Nowe drogi w Wysokim Atlasie

REJON TUBKALA

Opracowali: Jerzy Michalski i Stanisław Z. Zdrojewski

Kopa Uanums (3970 m)

I wejście zach. filarem: Maciej Gryczyński i Jerzy Michalski, 5 III 1969. Droga piękna, eksponowana i ciekawa, trudności V, 6 godzin.

W swej dolnej części filar kulminuje w spiętrzeniu, które obrywa się w stronę schroniska Neltnera charakterystyczną trójkątną ścianą. Ostrzem filara, a potem prawą jego częścią na główne spiętrzenie, następnie zaś przez ostre turnie i żandarmy wprost na wierzchołek. Skała dobra, teren mieszany. Warunki śnieżno-

-lodowe w czasie naszego przejścia były doskonałe.

Tubkal Zachodni (4010 m)

I wejście pd. filarem: Wojciech Jedliński i Jerzy Michalski, 10 III 1969. Droga piękna choć miejscami krucha, teren mieszany. Trudności III, miejsca IV. Czas przejścia 4 godziny.

Południowy filar kulminuje w jednym z niewyraźnych garbów grani Tubkala Zachodniego (tuż koło szczytu) i ma wysokość ok. 600 m. Rozpoczyna się ponad jędynym w tej okolicy jeziorkiem o nazwie Ifni. Początkowo łagodny, spiętrza się potem do pio-

nu. Systemem kominów i pół śnieżnych po lewej, a następnie po prawej stronie ostrza pod kopułę szczytową, gdzie znaleziono gniazdo kryształów górskich. Na grań wyprowadza śnieżny żleb.

Aguelzim (3860 m)

I wejście wsch. ściana: Stanisław Jaworski i Jerzy Michalski, 2 III 1969. Trudności II—III, 3 godziny. Ścianą tą wiedzie już droga, poprowadzona z lewej strony.

Ściana charakteryzuje się dwoma pasami uskoków, które można przejść wprost, lub ich prawnymi ograniczeniami. Wejście w

Nowa droga zachodnią ścianą północnego wierzchołka Bu-Uzzal (3740 m).

Fot. Stanisław Jaworski

ścianę w miejscu, gdzie kończy się zleb spadający z przełęczy pod Biginuseine. Śnieżno-skalnym terenem osiągamy pierwsze spiętrzenie i pokonujemy je wprost kominem (w zimie lodowo-śnieżnym). Dalej skalami przez drugie spiętrzenie, które pokonujemy od prawej strony, wchodząc na zebro i nim ok. 150 m na szczyt.

Bu-Uzzal (3740 m)

I wejście środkiem zach. ściany: Stanisław Jaworski, Wiesław Niedzielski i Stanisław Zygmunt Zdrojewski, 5 III 1969. Droga ciekawa, z dużą ekspozycją i koniecznością zastosowania wahanidła. Trudności V+, 8 godzin.

Wejście w ścianę w linii spadku wierzchołka. Wyżej systemem listew do platformy, a potem lewą rynną (IV) na drugą platformę i pod główne spiętrzenie. Przez spiętrzenie w górę i nad przewieszka zachodnikiem w prawo do kominika. Nim 10 m wprost w górę (IV) i w lewo na kruchą krawędź skalną (V). Skomplikowanym terenem w górę (miejsca V i V+) do stopnia pod pasem przewieszek. Tu trawers 5 m w lewo wahanidłem na krawędź, skąd dalej w lewo 20 m z lekkim obniżeniem, następnie w górę przez bloki. Zachodem w prawo do zlebu i w górę na kazałnicę stanowiącą kulminację ściany. Łatwym terenem na wierzchołek.

Uwaga. Szczegółowe opisy dróg znajdują się w posiadaniu Koła Łódzkiego KW oraz w zbiorach biblioteki ZG KW w Warszawie.



REJON IHANZALEN

Opracował: Ryszard W. Schramm

Dźebel Ajui (3382 m)

I wejście pn. zlebem przez „Widły” (Fourche): Henryk Jasiniak i Arkadiusz Zarowski, 2-3 III 1969, IV, jedno miejsce V, H2, 9 godz.

Wejście bocznym zlebkiem o kilkadziesiąt metrów na prawo od wylotu głównego zlebu. Skośnie w lewo na siodełko nad kotłem w głównym zlebie. Z siodełka trawers w lewo górna część kotła do głównego zlebu. Zlebem, zważającym się w komin, przez kilka progów (III-IV, latem mogą tu być większe trudności) do wielkiego kotła pod pionowymi ścianami. Stąd kominem spadającym z prawej strony, do zamykającej go nędzy i z niej lewą ścianką na ostrze filara (IV). Nim w górę przez 4-metrowy pionowy uskók (żywa drabina, następnie H2, V) i dalej ostrzem na łatwiejszy teren. Tu

z odchyleniem w lewo nad ścianami wielkiego kotła do wąskiego kominika. Kominikiem i ściankami powyżej niego (III-IV) na krawędź plateau szczytowego.

Dźebel Ajui (3382 m)

I wejście pn. filarem niższego (pn.-wsch.) wierzchołka wsch. szczytu: Jan Stryczyński i Stanisław Zierhoffer, 11-12 III 1969, V+, 3 odcinki H2, 14 godz. Droga b. eksponowana i ryzykowna, sporo trawek, skała miejscami krucha.

Omawiany wierzchołek opada ku pn. wielkim filarem, który w środkowej części tworzy dwa ramiona rozdzielone systemem rynien i zacień. W dolnej części podchodzi aż do ostrza filara trawiasty taras. Wysokość ściany od tarasu do szczytu wynosi ok. 500 m.

Wejście w ścianę w miejscu, gdzie taras podchodzi najwyżej. 30 m wprost w górę (V+, H2), a następnie łatwiej ukosem w prawo na system polek, którymi ok. 40 m w prawo. Lewym ramieniem filara wprost w górę (V), po czym nieco w prawo do majęcego charakter depresji systemu zacień i rynien rozdzielających oba ramiona. Nim lawirując, w górę (V-V+) do miejsca, gdzie przechodzą w wielkie, zachylające się w lewo i przewieszające zacięcie. Dnem zacięcia (pierwsze metry i pod koniec V+, H2) do miejsca, gdzie ramiona filara łączą się. Stąd z odchyleniem w prawo na ostrze górnej części filara, mniej strome i łatwiejsze, i nim na wierzchołek.

Ok. 30 m poniżej połączenia ramion filara znajduje się na lewym ramieniu duża poika, a na niej wylot jaskini, której pozio-

Polacy na Popocatepetl

W numerze 3—4 „Taternika” z r. 1963 pisał Jerzy Sawicki o swoim wejściu w czerwcu 1961 r. na Popocatepetl (5452 m), drugi po Orizabie (5747 m) szczyt Meksyku.

Nie było to pierwsze powojenne polskie wejście na „Popo”. Relację z wejścia wcześniejszego o 5 lat znajdujemy w miesięczniku „Wszelchświat” z r. 1956 (nr 10). Dokonał go geolog Adam Tokarski z towarzyszącymi przy okazji bytności w Meksyku na XX Międzynarodowym Kongresie Geologicznym. Osiągnęli oni samochodem wzniesienie ok. 4000 m, po czym w 5-godzinny podjeździe dotarli do kulminacji krateru. Szczyt Popocatepetl nie jest zbyt trudny, powstaje więc pytanie, kto z Polaków był na nim pierwszy? Wiadomo tyle, że pierwsze polskie wejście datuje się z czasów wcześniejszych. Tak np. znana pozycja Kazimierza Sayssse-Tobicyzka „W skałach i lodach świata” podaje (tom II, s. 36) że był na tym „wysokim ale łatwo dostępnym wulkanie” także meteorolog polski, Zenon Zemański (nie podano jednakże roku).

Adam Chowański

W rejonie Baksanu, 1956

Przebywając na Kaukazie w ramach Alpinady „Buriewiestnika” (sekcje MGU i MWTU) w dniach od 28 lipca do 22 sierpnia 1956 r. uczestniczyłem w kilku wspinaczkach, z których część można zakwalifikować jako pierwsze polskie wejścia na szczyty w rejonie Baksanu. Baza alpinady znajdowała się w dolinie Adyl-su powyżej obozu „Dżan Tugan”. W pierwszej połowie sierpnia wyruszyliśmy stąd ok. 20-osobową grupą na trzydniową wyprawę. W jej trakcie dokonano kilku wejść, których celami były m. in. następujące szczyty (podaję te, na które wchodziłem, i które uważam za ciekawsze):

Ułtu Tau Czana Zachodnia (4203 m) z doliny Adyr-su przez przełęcz Garwasz i zachodnią granią (2B).

Dżan Tugan (3991), z południowej strony głównego grzbietu, z lodowca Lekzyr (trudna wspinaczka lodowa, forsowanie barier seraków) przez dżantugańskie plateau i dalej na wierzchołek (od przełęczy łatwo — 2B).

Około 17 sierpnia uczestniczyłem w wejściu na Pik MRL (Pik MNR, ok. 3800 m), szczyt o sylwetce przypominającej tatrzańskiego Mnicha, wznoszący się nad doliną Baksanu, pomiędzy ujściami dolin Adyr-su i Adyl-su. Droga skalna, według naszej skali — trudna, tam oceniona na 3B, a następnie na 2B.

Dnia 19 sierpnia wyruszyliśmy z obozu 11-osobową grupą udając się samochodem do Tereskołu i tego samego dnia wieczorem osiągnąwszy „Schronisko Jedenastu” (4200 m) na stokach Elbrusa. Spędziliśmy tam następny dzień, wychodząc jedynie ze schroniska na spacer i dochodząc do t.zw. Skał Pastuchowa (4800 m). Podczas tego spaceru zdarzyło mi się odczuć na własnej skórze nie uwzględniony w żadnej literaturze rodzaj „niebezpieczeństwa górskiego”, jakim są latające słupy telegraficzne. Pozostawione z czasów walk na Kaukazie słupki podtrzymujące niegdyś przewody prowadzące od „chiżyńki” na przełęczy między wierzchołkami Elbrusa (5300 m), gdzie znajdował się niemiecki punkt obserwacyjny, wymarzały obecnie z lodu podczas silnej operacji słonecznej i sunęły po pochyłości, a jeden uderzył mnie dotkliwie w nogę, która szybko puchła. Fakt ten udało mi się zataić przed instruktorem-przewodnikiem grupy, dzięki czemu mogłem następnego dnia (20 sierpnia) wyruszyć o godz. 1.30 w nocy i o 7.30 rano stanąć na wschodnim wierzchołku Elbrusa (5621 m), najwyższego szczytu Kaukazu. Tegoż dnia w południe odpoczywaliśmy przy obfitych źródłach „Narzanu” — świetnej kaukaskiej wody mineralnej, już w dolinie Baksanu poniżej Tereskołu.

Jan Łacki

Wysoki Atlas 1965

W czerwcu 1965 r., korzystając z pobytu w Maroku, odbyłem w towarzystwie red. Włodzimierza Zralka (Agencja Robotnicza) wycieczkę w centralny masyw Wysokiego Atlasu. Dnia 4 czerwca podeszliśmy doliną Ait Mizan w pobliże schroniska Neltnera i zabiwakowaliśmy. Drugiego dnia wszedłem na szczyt Dżebel Tubakal (4165 m) i wróciłem na noc do schroniska. 6 czerwca przeszliśmy przez przełęcz Tizi n'Uanums do doliny Ifni, którą dotarliśmy nad brzeg jeziora tej samej nazwy. Po biwaku wróciliśmy do Imilil przez Tizi Tarhart, idąc z mulnikami berberyjskimi. W wycieczce towarzyszył nam kilkunastoletni „tragarz” — „przewodnik” — po prawdzie ani jedno, ani drugie. Red. Zrałek w wejściu na Tubakal nie uczestniczył z powodu choroby wysokościowej.

Wacław Nowyck

Ararat i Olimp

Latem 1968 r. odbyłem z Krakowa podróż samochodem do Turcji, w której trakcie dokonałem wejść na Ararat i Olimp. Mo-

im towarzyszem był Stanisław Kopeć. W dniu 28 sierpnia doszliśmy z Ganikór do obozowiska Kurdów (ok. 2300 m), następnego dnia stanęliśmy pod językiem śnieżnym na wysokości ok. 3500 m, gdzie założyliśmy biwak. 31 sierpnia o godz. 15 osiągnęliśmy wierzchołek (5156 m) i wróciliśmy do miejsc biwaku, by następnego dnia znaleźć się z powrotem w Ganikór. Wracając przez Grecję, wyruszyliśmy 15 września z Litoron do schroniska Zolotasa (2100 m), skąd 16 września rano dokonaliśmy wejścia na główny wierzchołek Olimpu (2917 m).

Wacław Nowyk

Jeszcze raz o Olimpi Bityńskim

W „Taterniku” 3/1968 r. zwróciłam uwagę na notatkę J. A. Szczepańskiego. Otóż au-

tor bawiąc latem 1967 r. w Turcji wszedł w dniu 12 września na szczyt Ulu Dagħ i w związku z tym pisze: „Źródła milczą, czy po bytności Jerzego Maślanki w 1924 r. na tym szczycie znaleźli się jeszcze jacyś Polacy?”

Praę więc podać, że w r. 1965, w dniu 29 X, była na szczycie Ulu Dagħ, moja kuzynka, Barbara Stelmachiewicz z p. A. Lewis, organizatorem wycieczki. Z opisu, który otrzymałam od niej, wynika, że turystyczna droga wiodąca na szczyt jest widokowo przepiękna a do późnej pory letnio-jesiennej utrzymuje się na zboczach spora warstwa śniegu. Masyw Ulu Dagħ słynie również jako rejon sportów zimowych.

Ingeborga Doubrawa

Z życia Klubu

OBÓZ KOŁA BESKIDZKIEGO

W okresie 17–30 marca 1969 r. odbył się przy Morskim Oku obóz zimowy Koła. Uczestnikami byli początkujący zima wspinacze, przy czym osiem z dziesięciu osób po raz pierwszy znalazło się zimą w rejonie Morskiego Oka. Przez 7 dni (19–26) pogoda i warunki śniegowe były dobre. Wyniki obozu są przeciętne: 95 godzin przewodników na drogach w skali od I do IV. Zainteresowania uczestników skierowane były na drogi dłuższe, typu przede wszystkim śnieżno-łodowego.

Do ciekawszych przebiegów należał: Hinczowa Przełęcz żlebkami wprost od Morskiego Oka, Zabi Szczyt Niżni prawą częścią południowo-zachodniej ściany. Zabia Przełęcz od północy i Hinczowa Turnia kominem północno-wschodniej ściany.

Waldemar Betlejowski

Z KOŁA WARSZAWSKIEGO

W dniu 20 lutego 1969 r. odbyło się Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze, które wybrało nowe władze Koła. Skład nowego Zarządu i poszczególnych jego komisji przedstawia się następująco: prezes — Andrzej Zawada, wiceprezes — Halina Krüger, sekretarz — Ewa Niedek, zastępca sekretarza — Danuta Herz, skarbnik — Wojciech Tedziągowski, Komisja Sportowa: przewodniczący — Andrzej Marczak, członkowie — Kazimierz J. Rusiecki i Jan W. Rutkiewicz, Komisja Szkoleniowa: przewodniczący — Janusz Krzysztoń, członkowie — Jacek Mierzejewski i Andrzej Piekarczyk, Komisja Sprzętowa: Stanisław Mosica, Komisja Propagandy: Stanisław Bratkowski, Przewodniczącym Komisji Dyscypli-

narnej został wybrany Piotr Miśkiewicz, Komisji Rewizyjnej — Julian Łaszkiewicz.

Ewa Niedek

Z KOŁA ŁÓDZKIEGO

Sezon zimowy 1968/69 stał w Koło Łódzkim pod znakiem wypraw i szkoleń. Na wyprawę w Atlas i w góry Etiopii wyjechało łącznie 15 członków Koła. Wychodząc z założenia, że gdyby nie prowadzono szkoleń, nie miałby kto jeździć na wyprawy, zorganizowano — jak co roku — kurs wspinaczki zimowej dla początkujących (13–27 IV — 16 uczestników). Kierownikiem był Bogdan Mac, a terenem działania — Dolina Gąsienicowa. Nawiasem mówiąc, rejon Hali ma w stosunku do kotłiny Morskiego Oka szereg zalet, z których najważniejszą jest ta, że nawet przy znacznym zagrożeniu lawinowym można bezpiecznie prowadzić zajęcia w terenie. Wszyscy uczestnicy dobrze na ogół wywiązali się z zajęć praktycznych, natomiast u niektórych było gorzej z wiadomościami teoretycznymi, zwłaszcza z topografii. Obserwacje z ostatnich lat wykazują, że pewna część młodzieży taternickiej (nie tylko w Łodzi) bardzo słabo orientuje się w swoim, jakże niedużym terenie działania. Wydaje mi się, że na wszelkich kursach powinno się zwrócić większą uwagę na to tak przecież ważne zagadnienie.

Dużym utrudnieniem w organizacji kursu zimowego był, jak zwykle, brak sprzętu (czekanów, raków). Mamy jednak nadzieję, że w tej kadencji Zarządu Głównego niepokojący problem uzyska wreszcie swoją rangę.

Mimo wyjazdu „czółówki” za granicę, wyniki uzyskane przez

członków Koła w Tatrach są na najwyższym poziomie. Autorami ich byli głównie A. Dworak, Z. Kieć oraz W. Jeziorski. Gorzej natomiast wyglądało, jak zresztą co roku, i to nie tylko w Koło Łódzkim, z ilością uprawiających wspinaczkę zimową. Oceniam, że z łodzian widziało Tatrę tej zimy nie więcej, niż 16% członków Koła, co przy 7,7% przebywających na wyprawach jest rzeczywiście odsetkiem niewielkim.

Bogdan Mac

NOWY SKŁAD KTI

Kolejny Zjazd Delegatów Sekcji Taternictwa Jaskiniowego Kół KW odbył się w Krakowie w dniach 9–10 listopada 1968 r. Przewodniczącą ustępującej KTI, B. Goch, złożył obszerny sprawozdanie, po którym rozpoczęła się burzliwa dyskusja. Poruszono wiele ważnych spraw dotyczących organizacji wyjazdów zagranicznych, działalności eksploracyjno-sportowej na terenie Tatr, przestrzegania zasad bezpieczeństwa i współpracy z innymi organizacjami speleologicznymi w kraju. W Zjeździe uczestniczyli również zaproszeni przedstawiciele AKT z Poznania i Gliwic.

Zjazd wybrał nową Komisję Taternictwa Jaskiniowego. Jej przewodniczącym został wybrany A. Rajwa, a w skład weszli: Z. Stecka i S. Patyk — zastępcy przewodniczącego, Ch. Parma — sekretarz oraz J. Bednarek, G. Haczewski, A. Łaptaś, T. Paluszkievicz i I. Pieniążek — członkowie. W związku z tym, że członkowie Prezydium KTI zamieszkują w Zakopanem, zaistniała konieczność przeniesienia, po raz pierwszy w historii KTI, jej siedziby z Krakowa do Zakopanego.

Apoloniusz Rajwa

Raki w starożytności

Przeglądając dzieła starożytnych pisarzy można natrafić na niejedną fragment mogący stanowić „przyczynę do dziełowej turystyki wysokogórskiej”. W „Geografii” Strabona (historyk i geograf grecki, 63 p.n.e. do 20 n.e.), w rozdziale dotyczącym Kaukazu (XI, 506) czytamy:

„Zimą szczyty gór są niedostępne, a latem ludzie wchodzą na nie podwiązując do nóg z powodu śniegu i lodu najeżone kolcami, szerokie kawałki surowej skóry wołu... Opuuszczają się ze swym ładunkiem leżąc na skórach i ślizgając się na lodzie. Podobnie postępuje się... na górze Masis (Ararat — M. P.) w Armenii, tam jednak podkładają pod podeszwy butów drewniane kółka z kołcami.”

Występuje tu pierwsza w piśmiennictwie wzmianka o rakach lub przynajmniej ich pierwowzorach, używanych od najdawniejszych czasów przez ludność zamieszkującą góry lodowcowe i obszary, na których pokrywa śnieżna utrzymuje się przez dłuższy czas. Informacja o zjazdach na skórach brzmi mało prawdopodobnie. Jeszcze mniej wiarygodna wydaje się inna relacja, zamieszczona w rozdziale odnoszącym się do północnej Armenii (XI, 528):

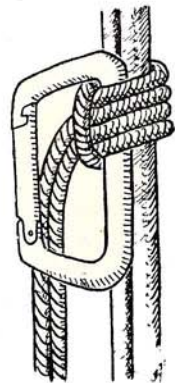
„Powiadają, że tam, na górskich przełęczach, przy silnym opadzie śnieżnym całe karawany giną w śniegu. Na wypadek takiego niebezpieczeństwa wędrowcy posiadają tyczki, które co pewien czas wysuwają spod śniegu na powierzchnię, tworząc przewiewnik i dając znać przechodzącym, aby im przyszli z pomocą, odkopali i uratowali.”

A może były to po prostu sondy lawinowe, niejasno opisane przez tych, którzy je widzieli?

Maciej Popko

Ulepszenie „prusika”

Każdy taternik wie, że zjeżdżać należy z górną asekuracją, a ostatni z zespołu — obowiązkowo z „prusikiem”. Aby uniknąć kłopotliwego zacinania się węzła w czasie zja-



zdu, A. H. Ronsdorf z Amsterdamu podaje w „Der Bergkamerad” 4/1969 s. 176 swój pomysł racjonalizatorski: węzeł zaciskowy wiąże się na linach (linie) i jednocześnie na grzbiecie karabinka. Zjeżdżając, wsuwa się w karabinek palec wskazujący górnej ręki, co pozwala swobodnie prowadzić pętlę przez wszystkie pułapki. Jeśli używamy do zjazdu liny pojedynczej, bezpieczniej jest zawiązać węzeł z dodatkowym przewinięciem (tzw. prusik podwójny).

Liny na mrozie

W „Taterniku” 1/1969 s. 41 zamieściliśmy wzmiankę o szkodliwym wpływie niskich temperatur na liny z włókien sztucznych. Czasopisma „Peñalara” 2/1968 i „Alpinismus” 6/1969 publikują wyniki godnych uwagi doświadczeń poczynionych w tym przedmiocie przez hiszpańskiego naukowca, José A. Odriozola. Ustalił on mianowicie, że liny z włókien sztucznych silnie marnakają, i to tym bardziej, im dłużej były w użyciu. Pracując w ścianie w czasie deszczu lina zwiększa wagę o 70-80%, a wilgoć zatrzymuje w sobie raczej długo (na zmoczonej linie wykonano 9 zjazdów, po czym stwierdzono, że waży ona jeszcze o 40% więcej, niż w stanie suchym). Jak wykazały badania, już samo namoczenie liny obniża jej wytrzymałość na zerwanie o 3%. Sucha lina leżąc kilka godzin w temperaturze -45°C straciła — przy 3 próbach — 19% wytrzymałości, zaś lina mokra poddana działaniu tej samej temperatury stała się o aż 28% słabsza. „Im starsza jest lina i im częściej podlegała przemakaniu i zamarzaniu, tym silniej spada jej wytrzymałość na zerwanie przy nowym wystawieniu na działanie mrozu” — konkluduje „Alpinismus”.

Rdzeń i koszulka

Wszystkim nam się wydaje, że za wytrzymałość liny na zerwanie odpowiedzialny jest jej rdzeń, koszulka natomiast służy tylko do jego ochrony. Tymczasem wcale tak nie jest. W Austrii przeprowadzono ostatnio doświadczenia z dwoma typami lin: przy jednym na koszulkę przypadało 66% ogólnej wagi zwoju, przy drugim — 36%. Okazało się, że w obu przypadkach koszulka brała na siebie znaczną część energii szarpnięcia — niewiele tylko niższą od jej procentowego udziału w wadze całej liny (przy pierwszym typie było to 60%, przy drugim 30). Ze stwierdzenia tego wypływa wniosek o dużym znaczeniu praktycznym: zużycie lub zniszczenie koszulki jest równoznaczne ze zużyciem lub znisz-

zeniem całej liny, choćby jej rdzeń wydawał się być w idealnym stanie. („OAV-Mitteilungen” 5-6/1969).

Strzemiona

Zamiast uczciwych ławeczek z metalu lub jesionowych klocków, wspinacze anglosascy używają od lat strzemion z taśmy perlonowej. Ostatnio zaczynają się do nich również przekonywać wspinacze krajów alpejskich — czterostopniowe strzemiona z fifi wypuściła w tym roku SALEWA. Podobno nie zaczepiają się one o skałę i haki, są też znacznie wygodniejsze w transporcie. Gdyby ktoś z czytelników chciał poczynić w tym zakresie próby z użyciem taśm dostępnych na rynku krajowym — prosimy o podzielenie się z nami wynikiem.

W skrócie

● Niedawno ukazał się na rynkach zachodnich nowy model 12-zębnych raków Stubaia, nazwany „Tirol”. Od modeli tradycyjnych różni się on ustawieniem obu par przednich zębów, które są pochylone pod kątem 45 stopni, co podobno wydatnie odciąża w lodzie muskulaturę goleni. Wielkość jest regulowana.

● W NRD wyrabiany jest składany plecak (Faltrucksack), wygodny przy małych wspinaczkach i jednodniowych wypadach wycieczkowych. Złożony mieści się w kieszeni spodni, a waży zaledwie 120 g. Cena dla członków DWuBV — M. 8,50.

● Również w krajach alpejskich pojawiły się mini-plecaki wspinaczkowe i narciarskie, wykonane z silnych i nieprzemakalnych tkanin perlonowych. Plecaczek na jednodniową turę waży 200 g, dla turystów produkowany jest model jeszcze mniejszy, ważący 105 g.

● Dwuczęściowe składane czekanie były do niedawna „patentem” francuskiej wytwórni Simond. Ostatnio zaczęła je produkować także firma Schuster w Monachium (cena. 80 marek).

● W USA znajdują się w sprzedaży czekany na metalowych i przez to wytrzymałościowo niezawodnych styliskach. Ich mankamentem jest pewne przesunięcie środka ciężkości — przy rąbaniu lodu bardziej męczące mięśnie ramienia.

● Zdolność produkcyjna nowoczesnej maszyny do wyrobu lin asekuracyjnych wynosi ok. 25 mb na godzinę. Materiałem jest prawie wyłącznie włókno perlonowe.

● Magazyn „Sport-Scheck” poleca wspinaczom namiot ścianowy (Biwakzelt), rozpinaany z pomocą kijów narciarskich lub 2 lekkich masztów, a w razie braku platformy zastępujący płachtę biwakową. Jego waga nieznacznie przekracza 1 kg.

● Firma Grivel wypuściła na rynek nowy model swoich znakomitych raków. Przez zastosowanie prostego lecz niezawodnego złącza uzyskano możliwość łatwego regulowania ich długości — bez potrzeby śrubokręta czy specjalnego klucza, jak tego wymagały niektóre inne rozwiązania.

Z piśmiennictwa

Stefan Kwapiszewski: 500 zagadek o Tatrach. Ilustrował Samuel Skierski. Wiedza Powszechna, Warszawa 1969; s. 267. Cena zł 15.

Pierwszą moją znajomość z Tatrami zawarłem kiedyś za pośrednictwem „gry towarzyskiej”. Nosiła ona nazwę „Tatry” i być może była wzorowana na opartej na tej samej zasadzie angielskiej pt. „The new game of the ascent of Mont Blanc”, pochodzącej jeszcze z końca XIX wieku. Z pomocą rzutów kostki wycieczka ruszyła z Zakopanego. Po drodze otwierały się jedna za drugą doliny, coraz to piękniejsze, wyrażały niebotyczne wierzchołki, słychać było szum Siklawy, w słońcu mieniły się jeziora. Przypadek było co niemiara — burze, błędzenia, podjazdy furka, spotkania z niedźwiedziem. Premowano np. Zawory, z których do końca wycieczki był już tylko jeden skok, o ile w zejściu z

Wrót Chałubińskiego nie skreśliło się nogi. Była to ciekawa i pożyteczna gra, może szkoda, że nasze dzieci nie mają jej odpowiednika...

Ale oto mamy (również dorośli) coś, co obudziło we mnie tamte wspomnienia, choć to nie gra towarzyska, a książeczka — z całą pewnością pożyteczna a zarazem dostarczająca rozrywki, jednym słowem — „500 zagadek o Tatrach” Stefana Kwapiszewskiego. Tekst oparty na 150 pozycjach bibliograficznych, to w sumie rozległy i usystematyzowany działami obszar wiedzy o Tatrach, którego zakresem, obawiam się, niezbyt wielu naszych aktualnych wspinaczy mogłoby się poszczycić. Nowicjusz znajdzie tu rzeczy nader ciekawe, miejscami nawet pasjonujące, przy tym podane dobrze i w sposób niewatpliwie atrakcyjny. Bedzie mu to może zachęta do dalszych studiów, do głębszego i czynnego poznania Tatr. Ale nawet znaw-

ca napotka niejedną nowość dla siebie; w Tatry i do spraw tatrzańskich powraca się przecież różnymi drogami i nie tylko fizycznie!

Wszystkim członkom KW, zwłaszcza zaś sympatykom, polecałbym gorąco lekturę zagadek, którymi nota bene można by się posługiwać nawet na egzaminach z „tatroznawstwa”. Ucząc się jednak do tego klubowego „rygorozum” należy mieć na uwadze kilka drobnych zresztą błędów, jakie przemknęły się autorowi i korekcje. I tak na s. 72 „obwieszeni klinami” są raczej obwieszeni linami, choć i kliny czyli kołki bywają niekiedy w użyciu. Na s. 200 — „zlepnięcie perskie” to oczywiście zlepnięcie permskie. Trudno zgodzić się z twierdzeniem na s. 212, że Zabi Szczyt Niżni jest zupełnie łatwo dostępny, nie jest on też „ostatnim szczytem w Zablej Grani”. Minister Andrzej Bobkowski, na którego niektórzy tak wybrzy-

dają, zapominając czego w duchu „bobkowszczyzny” dokonano w Zakopanem po r. 1945, był nie szwagrem, ale zięciem prezydenta Mościckiego (s. 233). Ostatnią częścią jest rozdział „Cicer cum caule”, tj. Groch z kapustą, napisany z dużym przyrzuceniem oka — nie jedyny zresztą pod tym względem, gdyż dowcip i humor są mocną stroną całej książeczki.

Trzeba jeszcze dodać, że tomik zdobia świetne, niekiedy wręcz kapitalne rysunki naszego tragicznie zmarłego kolegi klubowego Samuela Skierskiego, które doskonale oddają wesoły, nieco kłipski nastrój tekstów. Kilka z nich straciło niestety na walorze wskutek zbytowego zmniejszenia, przy kilku zaś redakcja techniczna pomyliła pion (s. 66, 78) — nie są to jednak usterki poważne.

Łatwo przewidzieć, że przy tytułach 20-tysięczny nakład rozejdzie się migiem i książka będzie miała nie jedno wznowienie i wielu wiernych czytelników.

Jerzy Kolankowski

Ján Podolák: Pastierstvo v oblasti Wysokých Tatier. Vydavateľstvo Slovenskej akadémie vied, Bratislava 1967; s. 207. Cena Kčs 31,50.

W porównaniu z wspaniałą baterią tomów naszego „Pastierstva Tatir i Podhala” książka Jana Podolaka prezentuje się dość skromnie, trzeba jednak pamiętać, że po słowackiej stronie Tatir pasterstwo zanikło lub zostało wyrugowane znacznie wcześniej, niż u nas, i w ograniczonych formach zachowało się tylko w Tatrach Zachodnich. Autor oma-

wia geograficzne, gospodarcze i etnograficzne zagadnienia pasterstwa, sporo informacji czerpiąc ze źródłowej pracy Zofii Holub-Paciewiczowej (1931). Tekst ilustrują liczne zdjęcia, wydrukowane na 96 kolumnach kredowych wkładek. Dziełko Jana Podolaka ma charakter półnaukowy, tym większe zdziwienie budzą więc informacje o „słowackich wioskach górskich na polskim Spiszu” (s. 24 i 27) — Jurgowie, Czarnej Górze, Rzepisku i Bukowinie, nam znanych przecież jako z dziada pradziada polskie. (jn)

Manualetto de istruzioni scientifiche per alpinisti. Wyd. CAI, 1967; s. 388. Cena L. 2000 (dla członków 1.500).

Alpinista o wiele więcej wyniesie z wspinaczki, jeżeli oprócz samej skalnej czy lodowej drogi dostrzeże także środowisko wysokogórskie, w którym przebywa. Znajomość pewnych zagadnień i zjawisk wiążących się z tym środowiskiem — np. meteorologicznych — jest mu praktycznie potrzebna, a staje się wręcz niezbędna, jeśli wspinacz któregoś dnia przeobrazi się w eksploratora. Powyższy podręcznik, wydany z inicjatywy Comitato Scientifico (Komisji Naukowej) CAI — stawia sobie za zadanie całą tę wiedzę zebrać i w możliwie usystematyzowany sposób przekazać alpinistom. Co składa się na treść książki — mówia tytuły poszczególnych rozdziałów: obserwacje ogólne, czytanie map geograficznych, topografia wyprawowa, uwagi o fotografii górskiej, meteorologia, geologia, obserwacje glaciologiczne, morfologia terenu, obserwacje antropogeograficzne,

speleologia, botanika, zoologia, hydrografia, podstawowe wiadomości o fizjologii człowieka w górach, korzystanie z map topograficznych, dialektologia i toponastyka.

Praca jest dziełem zbiorowym, napisanym przez wybitnych fachowców i popularyzatorów, a obecne II wydanie w dużym stopniu odbiega od pierwszego, z roku 1934, mawiasem mówiąc zrecenzowanego w naszych „Wiercach” (rok 1935, s. 234).

J. Nyka

Fritz Rudolph: Die grossen Tage der Anden. Sport-Verlag, Berlin 1966; s. 275. Cena M 16,50.

Autor „Tygrysów Himalajów” tym razem przeszedł do tematyki andyjskiej. Na tle losów rodziny chilijskiej opowiada on dzieje „złotej epoki” zdobywania szczytów Andów — okresu od połowy wieku XIX do roku 1914. Dla nas, Polaków, ciekawszymi byłby okres następny — lata międzywojenne. Miejszy nadzieję, że pracowity pisarz z NRD sięgnie do niego w którejś z dalszych książek.

J. Granilsczickow, S. Wejeman, W. Szimanowski: Gornij turizm. Izdatelstwo „Kultura i Sport”, Moskwa 1966; s. 112. Cena 18 kop.

Autorzy tej bogato ilustrowanej książki przeznaczonej dla górskich turystów zestawili ogólne wiadomości o górach i wskazówki dotyczące poruszania się w trudniejszym terenie. Dołączono także uwagi o organizacji wypraw i zapewnieniu bezpieczeństwa różnej wielkości zespołom, a także rady odnośnie sporządzania sprawozdań z górskiej działalności grup turystów. (mp)

Notatki i ciekawostki

ODZNACZENIE M. BABIŃSKIEGO

W dniu 6 sierpnia 1969 r. w ambasadzie Japonii w Warszawie odbyła się uroczystość dekoracji wysokim odznaczeniem „Orderu Świętego Skarbu” red. Mieczysława Babińskiego, znanego krakowskiego taternika i alpinisty, a jednocześnie zasłużonego popularyzatora kultury japońskiej w naszym kraju. Dekoracji dokonał ambasador S. Nakamura.

POLSKA DROGA NA POINTE YOUNG

„La Montagne” zamieszcza w zeszycie lutowym 1969 r. wzmiankę o pierwszym przejściu północnej grzędy Pointe Young. Cytujemy ją w całości, gdyż stanowi historyczne uzupełnienie materiałów opublikowanych w „Taterniku” 4/1968, s. 172—174:

„Grandes Jorasses. Pierwsze całkowite przejście północnej grzędy Pointe Young w

dniah 29—30 VII 1968 przez trzech wspinaczy polskich, pp. H. Furmanika, A. Heinricha i K. Zdzitowieckiego. Część górna (przypuszczalnie więcej niż 1/3 grzędy) została już poprzednio przebyta dwukrotnie w zejściu (F. Königer, A. Münch, W. Schwabe i L. Steinauer w sierpniu 1935; K. Buhl i K. Rainer, 30 VII 1950) i jeden raz w wejściu (E. Cavallieri i A. Mellano, 14 VIII 1958).”

O wartości przejścia polskiego świadczy zarówno odnotowanie go w kronice nowych dróg „La Montagne”, jak również fakt, że od pierwszego przejścia 1/3 części grzędy upłynęło 10 lat.

J. Kolankowski

O POMNIK DLA MISIA

Do rejestru pomysłów upiększania Tatr, zapoczątkowanego w XIX w., dodać można najświeższą inicjatywę Antoniego Wasilew-

Tom, volume, Jahrgang: XLV (1969) No 3. Redaktor, editor, rédacteur: Józef Nyka,
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 41-07-87 (Pologne).

Summary

The 25th Anniversary of the Polish People's Republic (A. Chowański)	97
Devaluation of the Extreme Routes (J. Kurczab)	98
Maly Młynarz North Face (Z. Kursa). Second ascent of the Chrobak Route	102
Polish Winter Ascents in the Tatras, 1968/69 (M. Jagielto)	103
Kazalnica North East Face (A. Dworak). First winter ascent of the Momatiuk Route direct	105
Polish Scouts in the Central Andes of Argentina (W. W. Blicharski, M. Zareba and R. Czarniawski)	107
Polish Climbers on the Triglav North Face (A. Paulo)	111
Irena Pawlewska-Szydłowska the Pioneer of Ladies' Climbing (M. Rewaj)	113
The High Atlas in Winter. A combined expedition organized by the Sections of Poznań and Łódź of the Klub Wysokogórski. Some winter ascents and 10 new routes: S. Zierhoffer and J. Michalski	117, 123
Eyes Towards the High Atlas Mountains (R. W. Schramm)	119
In the Caves of Mexico (M. Kuczyński)	127
New Routes in the Tatras — 135. New Routes in the High Atlas — 136. Various Mountains, Various Years — 139. Club Activities — 194. Equipment Notes — 141. Books and Publications — 142. Information — 143.	

Inhaltsverzeichnis

25 Jahre Volksrepublik Polen (A. Chowański)	97
Gibt es noch Sechser in den Bergen? (J. Kurczab). Zum Reinhold Messners Artikel über die Abwertung des sechsten Grades	98
Das Wort „taternik“ ist 90 Jahre alt (J. Nyka)	101
Wintersaison 1968/69 in der Hohen Tatra (M. Jagielto)	103
Polnische Pfadfinder in den Centralanden Argentinas (W. W. Blicharski, M. Zareba und R. Czarniawski)	107
Polnische Tätigkeit an der Triglav-Nordwand (A. Paulo)	111
Irena Pawlewska-Szydłowska spricht über das Damen-Bergsteigen (M. Rewaj)	113
Hoher Atlas-Winterexpedition 1969. Die Expedition wurde durch die Sektionen Poznań und Łódź des Klub Wysokogórski organisiert. Sie brachte einige Wintererstbegehungen und 10 beachtenswerte neue Führen. Tätigkeitsberichte: S. Zierhoffer und J. Michalski	117, 123
Die Bergwelt des Hohen Atlas — Winter in den „Marokanischen Dolomiten“ (R. W. Schramm)	119
In den Höhlen Mexikos (M. Kuczyński)	127
Neue Bergfahrten in der Hohen Tatra — 135. Neue Routen im Hohen Atlas — 136. Alpine Umschau — 139. Klubnachrichten — 140. Bergausrüstung — 141. Schriftenschau.	

skiego. W „Dzienniku Polskim” nr 91/1969 píše on:

„...poruszyłem temat upamiętnienia miejsca, gdzie nasz tatrzański miś zginął pod kołami autobusu, a było to za Łysą Polaną. Dziś (...) apeluję do uczniów prof. Kenara, by wyciosali w drzewie naturalnej wielkości postać misia z kierownicą w łapach względnie z oponą (...) Miś mógłby mieć swój życiorys i datę tragicznego zgonu — nie mówiąc już o wadze. W ten sposób miejsce to stałoby się atrakcją dla turystów i „samograjem” dla amatorów fotografów. Gdyby znalazł się grosz na odlew z brązu, pomnik na granicie zyskałby na swej wartości. Lecz kto może dokonać tego czynu jak nie harcerze? Im więc powierzam tę myśl...”

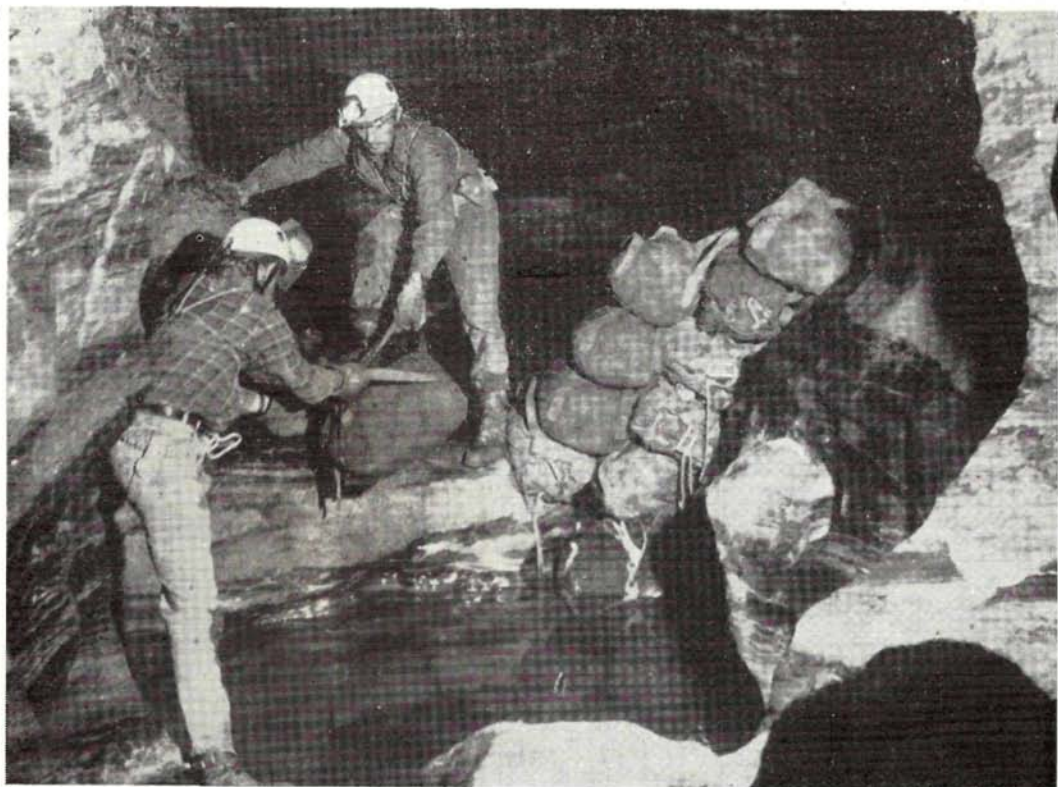
Pomysł ustawienia za Łysą Polaną pomnika niedźwiedzia z oponą w łapach wart jest zestawienia z przedwojennym projektem kapliczki na środku Morskiego Oka. Doprawdy

szkoda, że właśnie „Dziennik Polski” nie serwuje jakichś bardziej sensownych pomysłów harcerskim głowom; liczymy jednak na zdrowy rozsądek tych ostatnich.

a. chow.

100 LAT ÖTK

W drugiej połowie maja 1969 r. odbyły się w Wiedniu uroczystości związane z setną rocznicą istnienia Österreichischer Touristenklub, trzeciej co do wielkości organizacji wysokogórskiej Austrii (20 000 członków, 57 schronisk). Jubileusz upamiętniono wydaniem pięknej książki o ÖTK. Odręczne pismo gratulacyjne przesłał prezydent Austrii (również alpinista) dr Franz Jonas, pisząc m. in.: „W epoce auta rozwój sportu górskiego jest ważniejszy, niż kiedykolwiek dotąd. Sport ten wzmacnia tak potrzebne więzi człowieka z przyrodą, daje zdrowie i radość życia.”



Wyprawa do jaskiń Meksyku. Transport bagażu w ciągu wodnym jaskini Sotano de San Augustin, na głębokości 200 m. Na zdjęciu B. Koisar i M. Kuczyński.
Fot. Ryszard Gradziński

Taternik

**ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POŚWIĘCONY SPRAWOM
TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII.**

Redaktor: Józef Nyka
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18

Zastępca redaktora: Jan Staszal
Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7

Komitet Redakcyjny: Ryszard Gradziński,
Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm,
Jan Alfred Szczepański i Piotr Zółtowski.

Redaktor graficzny: Jerzy W. Cieślak
Adres Redakcji:
Warszawa, ul. Siewierska 13, tel. 22-22-86.

Adres Klubu Wysokogórskiego:
Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439,
tel. 26-69-56

WARUNKI PRENUMERATY:

Cena prenumeraty: półrocznie — zł 20, rocznie — zł 40. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą również dokonywać wpłat na konto PKO nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH” — Warszawa, ul. Towarowa 28. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „RUCH”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki zagranicznej, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH”, Warszawa, ul. Wronia 23 — konto PKO nr 1-6-100024, tel. 20-46-88. Egzemplarze archiwalne można nabywać (zamawiać) w redakcji, biurze Klubu Wysokogórskiego lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „RUCH” — Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17 na miejscu lub na zamówienie za zaliczeniem pocztowym.

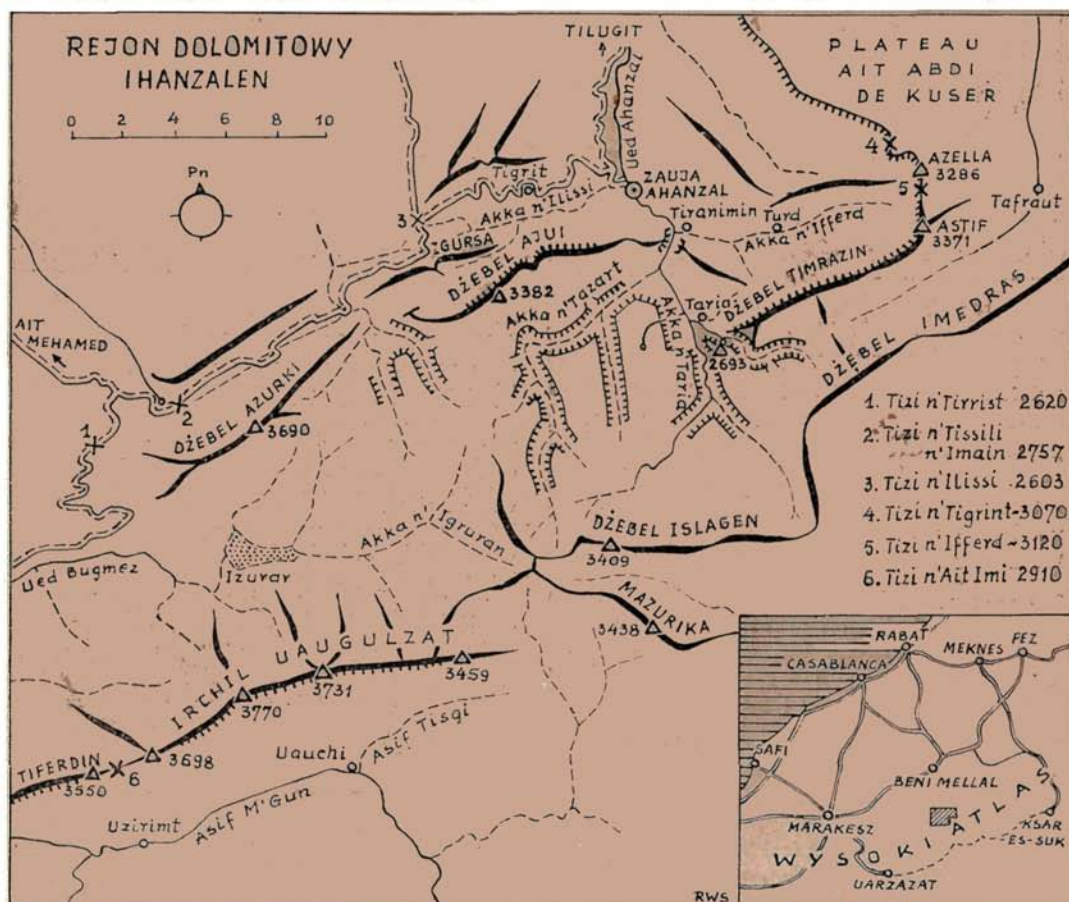
WYDAWCA:

RSW „Prasa” Wydawnictwo „Prasa Młodzieżowa i Sportowa” — Warszawa 10, ul. Bagatela 14. Telefon dyrektora: 28-09-73. Działu Wydawniczego: 29-35-52. Biuro Ogłoszeń: ul. Bagatela 14, p. 105, tel. 21-21-29. Cena ogłoszenia 1 cm kw. zł 10.
P. Z. G. RSW „Prasa”. Al. Jerozolimskie 125/127. Zam. 199. P-31.



WYPRAWA KOŁA POZNANSKIEGO KW W WYSOKI ATLAS W ZIMIE 1969 R.

Od lewej: J. Jagodziński, A. Matuszewski, A. Żarowski, B. Domenech, S. Zierhoffer, J. Strczyński, H. Jasiniak i R. W. Schramm. Fot. R. W. Schramm. Mapkę rejonu działania wyprawy opracował i wykreślił Ryszard W. Schramm.



WYDAWNICTWO „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA”